

Taternik

3-4
1963

<http://pza.org.pl>

T R E S C

| | | | |
|-------------------------------------------------------|-----|-----------------------------------------|-----|
| Zima 1962/63 | 30 | Okap | |
| Popocatepetl z Jacobo Kowalskim | | <i>Lucjan Saduś</i> | 114 |
| <i>Jerzy Sawicki</i> | 90 | Sto lat alpinizmu w Dołomitach | |
| Filar Droites w zimie | | <i>Janusz Kurczab</i> | 115 |
| <i>J. Michalski i J. Warteresiewicz</i> | 93 | Polacy w Dołomitach | |
| 40 lat alpinizmu w ZSRR (notatka) | 96 | <i>Józef Nyka</i> | 119 |
| Pięć dni w ścianie Kazalnicy | | Na wschodniej ścianie Ganku | |
| <i>Eugeniusz Chrobak i Andrzej Heinrich</i> | 97 | <i>Andrzej Zawada</i> | 122 |
| Pierwszy dzień wojny | | Nim Pawłkowski zdobył Mnicha | |
| <i>Zdzisław Kirkin-Dziedzielewicz</i> | 101 | <i>Józef Nyka</i> | 124 |
| 2 × Filar Walkera | | Z życia Klubu Wysokogórskiego | 125 |
| <i>Tomasz Lubiński</i> | 106 | Itineraria tatrzańskie | 126 |
| Zimowy sezon taternicki 1962/63 | | Z Alp | 129 |
| <i>Komisja Sportowa ZG KW</i> | 107 | Skalne drogi w Tatrach | 130 |
| Zima 1962/63 po słowackiej stronie Tatr | | Z piśmiennictwa | 132 |
| <i>Pavel Plašil</i> | 109 | Film górski | 135 |
| Wiktor Biegański — pionier polskiego filmu | | Muzyka | 136 |
| górskiego | | •Notatki | 137 |
| <i>Alicja Mucha</i> | 111 | | |
| Polskie ślady w Afryce (notatka) | | | |
| <i>Zygmunt Grabowski</i> | 113 | | |

Na przedniej okładce: W drodze na Świnicę
Fot. Janusz Vogel
 Na tylnej okładce: Wschód słońca na Mont Blanc
 du Tacul *Fot. Jerzy Surdzał*

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 39

Warszawa, 1963

nr 3-4 (180-181)

Zima 1962/63

Niniejszy numer „Taternika” poświęcony jest głównie osiągnięciom sezonu zimowego 1962/63. Fala długotrwałych i niezwykle silnych mrozów w styczniu i lutym nadała mu miano „zimy stulecia”, nie wpłynęła jednak w sposób widoczny na ograniczenie działalności w górach. Przeciwnie: sezon ten przyniósł zarówno w Tatrach jak i w Alpach szereg sukcesów, najwyższej klasy sportowej i nowe wyraźne przesunięcie wzwyż granicy rekordu we wspinaniu zimowym.

W Tatrach zostały pomyślnie rozwiązane dwa czołowe problemy: biegnące obok siebie dwie nowe drogi na północno-wschodniej ścianie Kazalnicy Mięgoszowieckiej. Jeszcze niedawno temu wielkie drogi całymi latami musiały czekać na przejście w warunkach zimy. Dzisiaj — wobec zaostrzenia się konkurencji i wyczerpania problemów — atakowane są odważnie zaledwie w kilka miesięcy po pierwszych przejściach letnich! Za najlepsze osiągnięcie sezonu tatrzańskiego trzeba chyba uznać pokonanie w zimie drogi Momatiuka, uważanej aktualnie za najtrudniejszą w całych Tatrach. Trwało ono aż cztery i pół dnia, a jego pełną dokumentację znajdzie czytelnik na s. 97 i 127. Przy pierwszym przejściu zimowym tzw. lewego filara Kazalnicy podkreśla się błyskotliwy styl, w jakim go dokonano. Ujemnym zjawiskiem, na które zwraca uwagę w swym sprawozdaniu Komisja Sportowa (s. 107), było w Tatrach skupienie uwagi na kilku modnych i stosunkowo łatwo dostępnych drogach w otoczeniu Morskiego Oka, przy pewnym niedostatku przedsiębiorczości, zwłaszcza wśród taterników młodego pokolenia. Na tym tle bardzo ko-

rzystnie wyróżniają się wyniki obozu w Dolinie Kaczej oraz cenna inicjatywa Koła Krakowskiego penetrującego nie odwiedzone dotąd przez taterników ściany Tatr Zachodnich.

Stało się już niemal tradycją, że do pięknych wyników we własnych górach polscy taternicy dorzucają również coraz to nowe sukcesy w Alpach, gdzie z pożytkiem wyzyskują wieloletnią zaprawę zimową wyniesioną z Tatr. Tym razem zapisali oni na swoim koncie pierwsze przejście zimowe filara Les Droites w grupie Mont Blanc, zaliczane do kilku najlepszych osiągnięć alpejskiej zimy. Na podkreślenie zasługuje fakt, że dokonano go w wyjątkowo ciężkich warunkach atmosferycznych w ciągu aż pięciu dni. Wyczerpujące sprawozdanie Michalskiego i Warteresiewicza zamieszczamy na s. 93. Ciągłe opady śniegu w rejonie Grindelwaldu sprawiły, że mniej pomyślnie powiodło się drugiemu zespołowi alpejskiemu, dwójce Momatiuk-Mostowski. Jednakże i ich ambitna próba wyprostowania słynnej drogi na Eigerze została pozytywnie odnotowana w najnowszej monografii ściany, pióra T. Hiebelera.

Jeśli chodzi o wyniki osiągnięte w Alpach przez wspinaczy zachodnich, widać duże ożywienie alpinizmu zimowego i to na coraz szerszym froncie. Charakterystyczny jest zwłaszcza przykład Szwajcarii, gdzie pokonano po raz pierwszy w zimie kilka pięknych ścian i to w zespołach nie znanych dotąd z większych osiągnięć zimowych. Na czoło wyników sezonu alpejskiego wysuwają się zdecydowanie dwa pierwsze przejścia: filara Walkera w masywie Grandes Jorasses oraz zjeźzonej skrajnymi trudnościami drogi Solledera na północno-zachodniej ścianie Civetty w Dolomitach.

REDAKCJA

Popocatepetl z Jacobo Kowalskim

Czerwiec w Ciudad de Mexico jest zawsze upalny, a tego popołudnia gorąc był większy niż zwykle i w powietrzu wisiała burza. Siedzieliśmy akurat przy kawie, kiedy ktoś podszedł do mnie i powiedział: „Bob Tripp z Berkeley szuka partnera na Popocatepetl”. Nie znałem Boba Trippa, chociaż Berkeley był wówczas i moim uniwersytetem. Mimo to, nie bacząc na znaczne grono profesorów przy stole, zerwałem się, by go odszukać. Toczyły się właśnie bardzo ważne obrady fizyków amerykańskich z meksykańskimi do spółki i sprawa odszukania nieznanego w mrowiu ludzkim nie należała do najłatwiejszych. Znalazłem go wreszcie — na razie po to, by się dowiedzieć, że nie tylko nie ma ze sobą sprzętu górskiego, ale nawet nie bardzo się orientuje, gdzie szukać owej Popocatepetl. Miałem nad nim nawet pewną przewagę: przelaływałem przecież kiedyś nad kraterem góry, lecąc do stolicy z Oaxaca.

Wygłosiłem więc po południu swój przydługi referat i zaraz po nim pławiąc się w gorącym deszczu ruszyłem z Bobem na poszukiwanie dalszych szczegółów. W Ameryce Łacińskiej znalezienie lokalnego zrzeszenia alpinistów nie jest wcale takie proste. W odróżnieniu od klubów europejskich, tutejsze noszą nazwy doskonale zacierające treść jaką zawierają. O, dla przykładu: „Agrupacion Excursionista Nuevos Horizontes” (Ekwador). Organizacja wysokogórców w stolicy Meksyku nazywała się dla odmiany „Club de Exploraciones de Mexico”, a na jej czele stał, jak nas poinformowano, „prezydent” senior Jacobo... Kowalski. I on znalazł się nie bez trudu. Pięćdziesięcioletni może mężczyzna, raczej nie atletycznej postury, przedwojenny emigrant z ubogich suwalskich okolic. Po polsku mówił słabo i rozmowa musiała się toczyć w języku hiszpańskim. Już pierwsza wiadomość okazała się dla nas bombą: oto za kilka godzin senior Kowalski wyruszał z grupą 12 członków klubu — właśnie na „Popo” Sprzęt oczywiście

otrzymamy, musimy jednak zdobyć jakieś atuo. To był jedyny warunek naszego udziału w wyprawie.

W ciągu trzech szalonych godzin załatwiłmy wszystko: pobraliśmy sprzęt z klubu, poczyniliśmy zakupy, wynajęliśmy rozklekotaną „simkę”, zlikwidowaliśmy rachunki w hotelu. Nasza karawana wyruszyła nieco po północy w kierunku góry, wznoszącej się 90 km na południowy wschód od stolicy Meksyku. Byliśmy po sutej kolacji, nie przeszkodziło to jednak naszym miłym gospodarzom zatrzymać się gdzie w połowie drogi i posadzić nas znowu do stołu — o 1.30 w nocy i w obskurnej knajpie z podejrzanymi kobietkami i ryczącym amerykańskim „juke-boxem”. O godzinie 3 osiągnęliśmy wysokość 3000 m, a u końca jezdnej drogi — schronisko, brzydką długą budę, zastawioną gołymi wyrami i pełną odoru stęchlizny. Przegryźliśmy jakieś meksykańskie podplomyki, popiliśmy czymś i bez zmrzenia oka ruszyliśmy w drogę.

W mroku nocy rozwinął się sznur migających światłami postaci. Wysoko na niebie — jakby trochę od rzeczy — mżył osobliwą poświatą gigantyczny czub wiecznych śniegów pod szczytem śpiącego wulkanu. To była Popocatepetl...

Ścieżka zwięzła się rychło, a potem uciekła nam spod nóg ginąc w bezbrzeżach spadzistego wulkanicznego tufu. Rozpoczął się oryginalny alpinizm — nie w skale, nie w lodzie, nie w piargu, lecz w czarnym paskudnym popiele. Latarki czołowe kołysały się na głowach uczestników, pomagając w wyszukiwaniu przejścia i unikaniu najbardziej grząskich fragmentów, gdzie nogi zapadały do kolan w ohydny sypką masę. Monotonie niekończącej się kopaniny w czarnym pyłe przerywały majaczące w mroku płaskie fałdy lawowe, pokraczne wulkaniczne skałki i wryte w czarnej mące źleby. Podejście było żmudne i męczące, a spotniałe skronie mile chłodził podmuch wiatru wiejącego od strony śniegów. Noc była gwiaź-

dzista i pogodna. Jako czołówka naszego ła-
sienca dobiliśmy do kapliczki z żelaznym
krzyżem, stojącej na przełęczce przed właści-
wym zboczem olbrzyma. Czekaliśmy na ostat-
nich opieszalców, kiedy zza prostej linii hory-
zontu wytoczył się czerwony krąg słońca.
W jego świetle ukazały się na niebie dziwne
chmury o kształcie monstrualnych ryb. Nie
wróżyły one dobrej pogody, trzeba więc było
iść dalej do szczytu, rezygnując z odpoczynku
i z wspaniałych widoków na trabanta naszej
góry — Iztaccihuatl, czyli „białą kobietę”.

Spady Popocatepetl były nadal łatwe, tylko
łązęga po nich diabelnie nużąca i orientacja
nie najprostsza, gdyż w labiryncie czarnych
żlebów trzeba było wyszukiwać tych z naj-
pewniejszym i najtwardszym podłożem. Nasza
grupa rozłazła się szerokim wachlarzem.
Chwilami trzeba było pokonywać znaczne
stromizny, chwilami jakieś usypiste progi, wy-
magające dobrej gimnastyki — i to z czeka-
nem, żeby na brzuchu nie pojechać w dół po
czarnym piachu i żużlu. Gdzieś na wysokości
wierzchołka Mont Blanc — jest to przecież
okolica zwrotnika — osiągnęliśmy granicę wie-
cznego śniegu. Obaj z Bobem odetchnęliśmy
z wyraźną ulgą! Nareszcie pod stopami jakiś
znajomy, swojski żywioł, nareszcie jest na
czym porządnie stanąć. Szliśmy w wibramach,
jakkolwiek i raki mogłyby się tu wcale do-
brze przydać, chociaż lodu ani lodowca nie
było.

Pomimo niewyspania byliśmy w dobrej for-
mie, wyprzedziliśmy nawet naszych gospodarzy
— rasowych Azteków o szerokich masyw-
nych piersiach. Dopiero przekroczywszy grani-
cę 5000 m zaczęliśmy odczuwać ujemny wpływ
wysokości. Odezwiał się lekki ból głowy, osi-
abienie w nogach i jakaś mdląca czczość w żo-
łądku, podchodząca do gardła. Tempo osłabło,
zaczęło się odliczanie kroków do każdego od-
dechu, maruderzy zostali w tyle tak daleko,
że ich całkiem straciliśmy z oczu. Wreszcie za
któryś tam z kolei „brzuchem” śnieżnym
otworzył się przed nami krater. W nozdrza
buchnęły opary siarki, zacząłem się krtusić
i dławić. Przy mnie czynił to samo Bob, po-
chylony nad czekaniem. Obok tępych dziwacz-
nych turniczek powlekliśmy się nogą za nogą
wzdłuż szaro-czarnego leja, wstrząsani co

chwila nowymi atakami kaszlu. Wreszcie osią-
gnęliśmy najwyższą kulminację, liczącą 5452 m
(wysokość podobno sporna) i padliśmy na
śnieg ciężko dysząc ze zmęczenia. Pod nami
leżał krater 300-metrowej głębokości, a jego
dwukilometrowy obwód najniżej schodził w
punkcie 5263 m — tym razem bodaj niespor-
nym. Ktoś z gospodarzy odsapnąwszy przypo-
minał historię zdobycia szczytu wulkanu, wią-
żącą się z okresem podboju Ameryki. W r. 1519
miała miejsce pierwsza próba, przeprowadzona
przez żołnierzy Corteza — podczas wybuchu,
który spowodował całoroczną aktywność. Uda-
ny atak nastąpił w dwa lata później (1521),
a przeprowadziło go 5 żołnierzy pod dowódz-
twem Francisco Montano. Celem wyprawy
było pozyskanie... siarki na potrzeby armii.
Siedząc na śniegu z zainteresowaniem słu-
chaliśmy tych ciekawostek, a Bob wytaszczył z
plecaka flaszkę szampa, której korek wy-
strzelił w podniebnej pustaci z jakimś niezwy-
kłym dźwiękiem. Każdy z nadchodzących o-
trzymawał łyk — prosto z szyjki butelki.

Tymczasem szczyt ogarnęła mgła i zaczął
padać drobny śnieżyk. Ponieważ nasi meksy-
kańscy przyjaciele mieli jeszcze w planie o-
krążenie całej korony krateru, nam zaś z Bo-
bem brakowało na to i czasu, i chęci, posta-
nowiliśmy wrócić sami. Zbiegając szybko w
dół natknęliśmy się na umorusanego alpinistę
dążącego mimo mgły i niepogody powolutko
pod górę. Był to nasz senor Kowalski, dźwiga-
jący na wysokość pięciu i pół tysiąca metrów
swoją rozpoczętą szósty krzyżek. Zmartwił się
szczerze naszą ucieczką — „uważajcie na la-
winy — mówią — strzeżcie się zbłądzenia”.
Podziękowaliśmy mu za wszystko i serdecznie
uściskaliśmy dłoń, a potem ruszyliśmy galó-
pem w dół, jak to się zwykle czyni dla przy-
pieczętowania udanej wyprawy. Zbiegając
czarnymi i usypistymi zboczami uświadomiłem
sobie, że jednak szkoda było rozstać się tak
po prostu z interesującym i sympatycznym
człowiekiem, który chciał może porozmawiać
z rodakiem i dowiedzieć się czegoś o porzu-
conym dawno temu kraju. Ale stok schodził
w dół, a Kowalski szedł w górę, krzyknąłem
więc tylko jeszcze raz „Do widzenia” i wiel-
kimi susami popędziłem za Bobem.
Rzym, lipiec 1963.



Filar Droites w zimie

Trudne wspinaczki zimowe są w Alpach praktyką stosunkowo niedawną, podczas gdy polscy wspinacze mają w nich zaprawę co najmniej od ćwierćwiecza. Nic przeto dziwnego, że nasi reprezentanci uczestniczą w rozwiązywaniu najciekawszych zimowych problemów Alp niemal na równi z gospodarzami — Francuzami, Włochami, Szwajcarami, Niemcami. Podobnie jak w roku ubiegłym, tak i w tym, Zarząd Główny KW nie przeoczył tej szczęśliwej okoliczności i wysłał w Alpy zespół wspinaczy w składzie M. Gryczyński, J. Michalski, J. Stryczyński i J. Warteresiewicz (kierownik), stawiając mu za cel pierwsze zimowe przejście jednej z najpoważniejszych dróg w masywie Mont Blanc — północno-wschodniego filara szczytu Les Droites (4000 m). Zadanie to — mimo wręcz fatalnych warunków atmosferycznych — zostało wykonane, z czego relację składają czytelnikom J. Michalski i J. Warteresiewicz.

*

Północno-wschodni filar Les Droites liczy około 1200 m wysokości. Wyodrębniają się w nim trzy wyraźne człony, z których dwa dolne (widać to na reprodukowanym zdjęciu) przystają do górnych z prawej strony ostrza. Człon najniższy wbija się wybitną ostrogą skalną w Glacier d'Argentière, w górze zaś od części środkowej jest oddzielony głęboką przełęczką (3384 m). Prawą stroną ostrogi biegnie efektowny wariant H. Furmanika i J. Warteresiewicza, przebyty po raz pierwszy w lecie 1962 r. Droga zdobywców, którą wiodła nasza zimowa marszruta, omija ostrogę od lewej strony systemem lodowo-śnieżnych kuluarów. Środkowy człon filara jest mniej wybitny i składa się z szeregu eksponowanych

Po lewej: pn.-wschodni filar Les Droites z wryśwaną drogą. Po prawej stronie ostrogi zaznaczony jest letni wariant H. Furmanika i J. Warteresiewicza.

uskoków skalnych, pokonywanych bądź wprost, bądź też obchodzonych od prawej strony, północną ścianą Les Droites. Człon górny stanowi spiętrzenie szczytowe, wyraźnie dominujące nad niższymi częściami filara. Tworzy ono stromą zębatą grzędę z dwiema potężnymi turnicami i lodowym grzebieniem pod wierzchołkiem. Średnie nastromienie filara między kotami 2926 m (wejście w ścianę) i 3400 m wynosi 57° , zaś między kotami 3384 m i 3626 m — 61° . Przeciętną nachylenia całej drogi, od wejścia w ścianę po wschodni wierzchołek, oblicza się na 59° .

Zdaniem przewodnika Vallota, droga północno-wschodnim filarem Les Droites należy do najpiękniejszych i najtrudniejszych w Alpach, a jej przejście — do największych przedsięwzięć wspinaczkowych w całej grupie Mont Blanc. Nie ma tu co prawda miejsc skrajnie trudnych, jednakże ciągła kontynuacja trudności naprzemian skalnych i lodowych stawia alpinistę wyjątkowo duże wymagania, i to zarówno od strony kondycji, jak i techniki wspinania.

Jako pierwsi zdobywcy filara figurują w kronikach Ch. Authenac i F. Tournier, którzy pokonali go na krótko przed wybuchem ostatniej wojny, w dniach 20 i 21 lipca 1937 r. Dwa nasze przejścia w lecie 1962 r. (zob. „Taternik” nr 2/63) były przypuszczalnie piątym i szóstym z kolei, zaś przejście zimowe — siódmym. Na kilka dni przed nami próby zimowego ataku dokonali dwaj Francuzi, Frehel i Moreau, którzy jednak wycofali się zjazdami. Spotkaliśmy ich obu w Chamonix 5 marca, w dniu ich powrotu do bazy. Sami wyruszyliśmy nazajutrz (6 III) — koleją i kolejką linową, by wreszcie męczącym pieszym marszem dotrzeć do schroniska Argentière (2771 m), położonego nad lodowcem tej samej nazwy.

W ścianę weszliśmy 7 marca o godz. 8.30. Dolną część sforsowaliśmy kuluarem lodowym ograniczającym od lewej ostrogę. Zalodzenie



Drugi dzień wspinaczki. Na trawersie J. Michalski, asekuje M. Gryczyński.

Fot. Jan Stryczyński

było duże, a lód twardy, naciekowy, wymagający solidnej roboty i szczególnej ostrożności we wspinaniu. Droga, zwłaszcza na pierwszych wyciągach, jest w dodatku przewieszona. Na polach śniegu w miejscu, gdzie stromość zmniejsza się na długości 3 wyciągów, śnieg był lepszy i trzymał się nieźle lodowego podłoża. Wyżej teren znowu staje się stromy, a kuluar przegradza kilka przykrych zalodzonych progów. Ostatnią trudność tego odcinka stanowił potężny nawis, broniący dostępu do przełączki 3384 m, na której o godz. 21 — po przeszło 12 godzinach wspinania — rozbiliśmy dość wygodny biwak.

Drugiego dnia (8 III) rozpoczęliśmy o godz. 8.30 wspinaczkę środkową częścią filara, najpierw zalodzonym kominem przez spiętrzenie skalne nad przełączką a następnie pokonując kolejne uskoki. Eksponowany trawers (3 wyciągi) w czystym lodzie doprowadził po stronie północnej do wypełnionej lodem i zaśnieżonej rynny, która pozwoliła nam osiągnąć boczne żeberko filara. O godz. 17 założyliśmy tu drugi z kolei biwak, niewygodny, gdyż miejsce było tylko do siedzenia. Na domiar złego, wieczorem załamała się pogoda, a duży opad śniegu spowodował lawiny pyłowe, które nękały nas przez całą noc. Rano po naradzie zdecydowaliśmy nie wycofywać się przez ryzykowne kuluary w dolnej części filara, lecz kontynuować wspinaczkę ku górze. O godz. 8 (9 III) wyruszyliśmy dwuwyciągowym trawersem w poprzek potężnego płytkiego żlebu, osiągając w lawinkach ponownie ostrze filara — początkowo bardzo stromego, wyżej, na długości ok. 3 wyciągów, łagodniejszego. Przed południem ustała śnieżycy, chmury ustąpiły i nad wybielonymi świeżym puchem wierzchołkami zaświeciło słońce. Dalsza wspinaczka była jednak utrudniona przez grubą warstwę świeżo spadłego śniegu, mróz i wiatr, a także wielkich rozmiarów nawisy, które miejscami trzeba było zrąbywać. O godz. 17 założyliśmy trzeci biwak, tym razem na monstrualnym nawisie w miejscu, gdzie filar wrasta w spiętrzenie szczytowe. Niestety roz pogodzenie było tylko chwilowe. Wieczorem pogoda zepsuła się całkowicie a gęsty opad śniegu nie rokował większych szans na dzień następny. W dodatku nasz prowiant, obliczony na trzy dni, był już na wyczerpaniu.

Mimo tych niesprzyjających okoliczności 10 marca o godz. 8 rano rozpoczęliśmy wspinaczkę górną częścią filara, której trudność polegała na konieczności sforsowania dwóch wybitnych turni skalnych. Do intensywnego opadu dołączył się huraganowy wiatr, przybierający na sile w miarę zbliżania się do szczytu. Podmuchy tamowały oddech, trudno się było porozumieć, pole widzenia zacieśniało się chwilami do kilku najbliższych metrów. Pierwszą grupę turni obeszliliśmy po północnej stronie bardzo stromym lodowym trawersem,

przez który zsuwały się nieustannie lawiny pyłowe. Przykra depresja wyprowadziła na przełęczkę między obiema turnicami. Drugą z nich ominęliśmy od wschodu, posuwając się lawiniastymi połami śnieżnymi o dużym nastromieniu. Czwarty z kolei biwak (godz. 17) założyliśmy w jamie śnieżnej na ostrzu filara, 80 m poniżej szczytu. Prowiant się skończył, ubrania i sprzęt biwakowy były całkowicie przemoczone. Dwóch uczestników przejścia nie zdjęło na noc raków, co u jednego z nich pociągnęło za sobą dość poważne odmrożenia nóg. Następnego dnia (11 III) warunki atmosferyczne nie uległy poprawie. Jamę biwakową opuściliśmy o godz. 8.30 i rąbiąc stopnie w lodowym ostrzu grani szczytowej (2 wyciągi) osiągnęliśmy o godz. 10 wierzchołek Les Droites (4000 m).

Zejscie dość trudną drogą Cordier w porywistym wietrze i niezwykle ciężkich warunkach śnieżnych (lawiny) było bardzo przykre. Śnieg miejscami sięgał do pasa, a wichurze i zamieci towarzyszyła burza z piorunami. Mimo znacznego zmęczenia zachowywaliśmy jak najdalej idącą ostrożność. O zmierzchu osiągnęliśmy zamknięte na głucho schronisko Couvercle (2687 m), stojące u podnóży Aiguille du Moine. Cały następny dzień (12 III) spędziliśmy w schronisku, susząc sprzęt i ubranie. Zejscie rozpoczęliśmy 13 marca, by następnego dnia przed południem stanąć w Chamonix les Praz.

Ze sprzętu posiadaliśmy na wspinaczce 2 liny asekuracyjne nylonowe polsk'ej produkcji (po 40 m długości), 40 m linki kapronowej, 6 wkręcanych igieł lodowych (Stubai), 6 haków o przekroju „C” (Simond), 10 łyżek tej samej marki, 15 lekkich karabinków, 2 czekany, 2 czekanomłotki, 2 młotki lodowe, 4 kurtki puchowe, 4 śpiwory, dwuosobową płachtę ortalionową, jednoosobową płachtę nylonową, 4 pary wysokościowych butów filcowych na wibranie, 4 pary lekkich raków, 4 kominarki, 3 kaski ochronne oraz maszynkę butanową do gotowania z 11 zasobnikami.

Ogólnie biorąc, trudności drogi przerosły nasze oczekiwania, jakkolwiek aż 3 członków zespołu znało filar z lata. Od drugiej nocy porczynając warunki wspinaczkowe i biwakowe

były bardzo ciężkie. Obfity świeży opad nie wiązał się z lodowym podłożem, schodziły lawiny pyłowe, poważne było zagrożenie lawinami cięższymi. Na skale tworzyły się w wielu miejscach wielkie i trudne do sforsowania nawisy. Twardy naciekowy lód dodatkowo hamował tempo wspinania, a huraganowy wiatr uniemożliwiał widzenie. W czasie trwania zamieci przeciętny czas przejścia wyciągu wynosił około godziny. Przy zakładaniu dwu ostatnich biwaków nie wykorzystaliśmy całego dnia wspinaczkowego ze względu na osiągnięcie dogodnych miejsc biwakowych — noclegu na stojąco w tych warunkach stanowczo nie można było ryzykować. Szarość poranków w mgłę i zadymce oraz stan wyczekiwania na zmianę pogody sprawiały, że rano wychodziliśmy z biwaków dość późno, zresztą godziny podane wyżej są szacunkowe, gdyż w ścianie

7 marca. M. Gryczyński i J. Warteresiewicz wiąza się u wejścia w filar.

Fot. Jan Stryczyński



nikt nie notował czasu efektywnego wspinania. Suma tych wybitnie ujemnych czynników sprawiła, że wspinaczka filarem trwała ponad 4 dni zamiast planowanych 3. co w konsekwencji spowodowało, że od 11 marca pozbawieni byliśmy żywności. Błędem z naszej strony było nieposiadanie drugiej dwuosobowej płachty biwakowej. Stało się to m. in. przyczyną odmrożeń palców u nóg J. Stryczyńskiego, do czego w walnym stopniu przyczynił się jego wyjątkowo aktywny udział w prowadzeniu śnieżnych wyciągów podczas burzy.

Co się tyczy zespołu 4-osobowego, to nie był on w sposób zasadniczy wolniejszy od 2-osobowego, zapewniał natomiast większą ilość haków i sprzętu rezerwowego, przede wszystkim zaś dawał poczucie większej pewności i bezpieczeństwa, co w dniach krytycznej pogody było nie bez znaczenia. Poza tym w czasie zejścia lodowcami zawałonymi grubą warstwą świeżego śniegu czwórka dysponowała znacznie większą siłą do torowania na przestrzeni wielu kilometrów, co zespół 2-osobowy przypuszczalnie wyczerpałoby szybko. Na szczególne podkreślenie zasługuje wprost idealna atmosfera, jaka panowała w ekipie przez cały czas wspinaczki i zejścia, co zresztą w głównej mierze zdecydowało o pełnym osiągnięciu zamierzonego celu. Jak oceniamy,

przejście filara Les Droites w tak zaostzonych warunkach dało pełny obraz trudności i niebezpieczeństw zimowej wspinaczki w Alpach.

J. Michalski i J. Warteresiewicz

*

Śmiały i udany atak zimowy na filar Les Droites zrobił duże wrażenie w zachodnich kołach sportowych, gdzie uważa się go za trzecie co do znaczenia wydarzenie minionego sezonu alpejskiego — zaraz po przejściach Filara Walkera i pn.-zach. ściany Civetty. Odbiło się ono szerokim echem w prasie francuskiej, niemieckiej i włoskiej, a nawet marokańskiej, jak nam to zakomunikował przebywający w Rabacie członek KW, Z. Grabowski. Fachowe komentarze są zgodne co do tego, że rangę i tak trudnego przejścia dodatkowo podnoszą szczególnie ciężkie warunki, w jakich go dokonano. Świetny wynik dał Zachodowi nowy dowód prężności polskiego sportu wysokogórskiego, zaś w kraju przekonał chyba ostatnich sceptyków, wątpiących w celowość polskiego udziału w zimowej eksploracji Alp, która na szerszą skalę dopiero się przecież zaczyna. Przewodniczący GKKFiT, Włodzimierz Reczek, nadał wszystkim uczestnikom przejścia wysokie odznaczenia sportowe.

40 LAT ALPINIZMU W ZSRR

Jesienią 1923 roku grupa złożona z kilkudziesięciu studentów gruzińskich dokonała pod przewodnictwem dwóch profesorów wejścia na szczyt Kazbek w Kaukazie (5043 m). Wyczyn ten został oficjalnie uznany za początek alpinizmu radzieckiego, który tym samym obchodzi obecnie 40 rocznicę istnienia. Alpinści radzieccy mają w swoim dorobku wspaniałe sukcesy sportowe, imponujący jest też rozmach i umasowienie tej dyscypliny w ZSRR: dość powiedzieć, że ma ona w swoich szeregach aż 43 zasłużonych mistrzów sportu, 9 zasłużonych instruktorów i około 500 mistrzów sportu! Dowody świetnego opanowania rzemiosła górskiego dali alpinści radzieccy podczas ostatniej wojny — wielu z nich nosi zaszczytne odznaczenia „Za obronę Kaukazu”.

W jednym z najbliższych numerów „Taternika” zamieścimy większy artykuł o alpinizmie w Związku Radzieckim, tymczasem zaś składamy kolegom i towarzyszącej im ekipie radzieckiej jak najbardziej serdeczne gratulacje, życząc im nowych sukcesów sportowych i dalszego rozszerzania szeregów, którym wielki świat gór ZSRR nie stawia żadnych granic.

Pięć dni w ścianie Kazalnicy

Wrażenia dwóch uczestników I zimowego przejścia drogi Momatiuka na pn.-wschodniej ścianie Kazalnicy Miękuszwowieckiej. Kalendarium i szczegóły techniczne znajdzie czytelnik na s. 127.

A więc to już. Księżyc — prawie w pełni — rozświetla do białości śnieżną płaszczyznę Morskiego Oka, prószy światłem po ścianach Miękuszwowieckich Szczytów, które skrzą się na czarnym tle nocy, jak by były wyrąbane z niesamowitej szklanej bryły. Idziemy milcząc po skrzypiącym firnie, mróz szczypie w dłonie, policzki, nosy. W ustach cierpki smak krótkiej, trzygodzinnej drzemki a w gardłach ten szczególnie rodzaj uczucia, który zawsze towarzyszy wyjściu na spotkanie z niewiadomym. Nie mówimy o tym, ale jedno wiemy wszyscy trzej: to, na co się odważamy, przetrasta wszystko, cokolwiek sami dotąd robiliśmy w Tatrach, a i pewnie — bez przesady — większość wszystkiego, czego dotąd kiedykolwiek w Tatrach dokonano. Kazalnica, droga Momatiuka...

HEINRICH. Nad Podhalem świta. Niebo staje się coraz bladejsze i bladejsze, wreszcie nabiera żółtego odcienia. Wspinamy się przez dolną część ściany. Pasy ciężkich plecaków wrzynają się w ramiona, sypki cukrowaty śnieg nie daje oparcia rakom. Słychać tylko zgrzyt żelaza o skałę i monotonne komendy. „Ściągaj, idę!” „Likwiduj stanowisko!” — „Trzymaj, wypycha jak jasna cholera!” Godziny płyną, trudność rośnie. Już Tadek wisi w ławeczkach w przewieszonym zacięciu, tłukąc w szczelinę grube drewniane kołki — jeden, drugi, trzeci. Jest już południe, kiedy zabawnie wygięty do tyłu, przewija się na wąską półkę, z której zwisają szkliste lodowe saple. „Nie wiem, panowie, jak się tu pomieścimy” — woła z góry, a zdrapywany rakami śnieg płynie szumiącą kaskadą. Wbijamy haki „gospodarcze”, rozwieszamy sprzęt. Nad nami pochyła się pięciowyciągowa przewieszona część ściany, dziś chcemy zrobić przynajmniej jeszcze jeden wyciąg. Genek obwiesza się żelastwem i zawisa w ławeczkach. Huśta się na jakimś wąłym haczyku i nie może nic wbić ponad sobą. Po pa-

ru bezskutecznych próbach ostrożnie wychodzi z ławeczek i jakimś cudem pokonuje kilka metrów pionu, mając za oparcie może centymetrowe stopieńki i chwytły. Dalej zaczyna wbijać małe stalowe „jedynki”, błyskające świeżym srebrnym metalem, „Wchodzą na dwa milimetry” — woła niby obojętnie, ale głos ma szary i zdławiony. My na dole trzęsiemy się z zimna i emocji, silnie zaciskając w garściach liny. Podpieramy go wzrokiem, przeżywamy każdy jego gest, każde poruszenie — precyzyjne, wyważone i oględne, jak na trickowym zwolnionym filmie. Wreszcie krótki trawers w prawo i pełne ulgi „uuch!”. Nareszcie na stanowisku. Zmierzcha się już, kiedy dochodzę do niego wyłuskując ze skały jedynki i haki. Potem zjeżdżamy obaj w dół, do Tadka pochylonego na furkoczącą benzynową maszynką.

CHROBAK. Noc jest krótka ale diabelnie zimna. Przy 10-stopniowym mrozie kurtki puchowe nie dają wystarczającej ochrony. Zapadamy na kilkanaście minut w drzemkę i budzimy się wstrząsani febrycznymi dreszczami. Już o 3 nad ranem zgrabiałymi rękami zaczynamy przygotowywać śniadanie — herbatę, ovovitę, kawałki kiełbasy. Jest jeszcze ciemno, kiedy po linie wchodzimy do miejsca osiągniętego wczoraj wieczorem.

Teraz kolejny popis Andrzeja. Rozpoczyna trawers po stromej poderwanej płycie — skrajnie trudny i wyczerpujący nerwowo, bo w razie odpadnięcia grozący wahadłem o promieniu 15 metrów. Balansuje na maleńkich nierównościach skały, błądzi po niej rękami w poszukiwaniu jakiegoś chwytu, zmęczone nogi zaczynają drgać nerwowo. „Ściągaj, wracam” — mówi i po chwili odpoczynku ponawia atak. „Tak tu marudę — sapie — ale jest naprawdę trudno”. Tadek uważnie asekurowuje i uspokaja Andrzeja. „Dobra, dobra, tylko nie zleć!” Andrzej nadal się waha, przycaja,



klepie dłońmi gładką skałę. Wreszcie coś się w nim przełamuje. Szerokimi płynnymi ruchami przesuwa się po niewidocznych z naszego miejsca wystęпах i już pokrzykuje wesoło, że dobrze, że hak, że zaraz stanowisko. Ale to nie koniec zabawy na dzisiaj. Teraz obwieszają się hakami Tadek, by pokonać 30-metrowy okap skalny zakrywający nad nami błękit nieba. Dyna w ławeczkach, a repsznur zwiesza się coraz dalszym łukiem ponad 250-metrową przepaść. Trudności są naprawdę krańcowe. W pewnej chwili wychodzi z ławeczek i wisząc na jednej ręce nerwowymi stuknięciami młotka wklepuje „jedynekę”. Słychać urywany spazmatyczny oddech — Boże, co za wysiłek... „Jakoś siedzi”. Tadek wpina karabinek z ławeczką i z ogromnym napięciem delikatnie ją obciąża. Zawisnął... Śmielsze poruszenie nadaje mu ruchu obrotowego. Kręci się w lewo, potem w prawo nie dotykając nogami ściany. Wygląda jak wielki pajak uczepiony sufitu. Wbijają jeszcze jedną „jedynekę”, potem kilka słabutkich haków i chowa się za krawędzią okapu. Lina przesuwa się jeszcze trochę przez karabinki i potem staje. Patrzę na Andrzeja, który stoi z przygryzionymi wargami i nie odrywa oczu od okapu. Otrząsam się z chłodu i emocji. To były mocne godziny. Jest już prawie ciemno, kiedy dochodzę do Tadka. Biwakujemy razem przypięci do haków, Andrzej 30 metrów niżej, wisząc w ławeczkach przy małej skalnej półeczce.

HEINRICH. Zostałem sam. Nade mną czarny dach okapu, o którego krawędź łagodnie ociera się księżyc. Dalekim łukiem zwisa osrebrzony jego światłem repsznur. W pewnej chwili porusza się, a chłopcy krzyczą z góry, że posyłają mi kurtkę i jedzenie. Wsysam zachłannie sok pomidorowy z puszki, a butelkę z ciepłą herbatą wkładam pod kurtkę, żeby nie wystygła i sączę ją z namaszczeniem, kropla po kropli. Na małym załomie skały obok mnie tkwi ogarek świecy — to z lata, kiedy biwakował tu Genek Chrobak. Zapalałam ją, chybottliwy płomyk wydziela przyjazne ciepło, które poprzez palce promieniuje w głąb ciała. Łagodna pomarańczowa światłość zamyka mnie w sobie, wyizolowuje ze ściany, stwarza złudzenie domu, ciepła, przytulności. Nie widzę ani dołu urwiska, ani koszmarnego okapu nad głową, odcinającego mnie od Genka i Tadka. Wpatruję się w płomyk, który w ledwo wyczuwalnych powiewach wiatru kładzie się to na jedną to na drugą stronę. Oślaniam go pal-

cami — są splekane od mrozu, pokaleczone i obrzmiałe. Gdzieś z boku dobiegają głosy. To Jurek i Rysiek biwakują na filarze. Kiedy milkną, cisza wydaje się jeszcze głębsza. Ale to mi nie przeszkadza. Lubię ciszę i lubię noc w wielkich ścianach. Są jakieś takie piękne, takie uroczyście. Człowiek przeżywa je zdając sobie sprawę, że zostaną na całe życie. Wszystko inne pójdzie w zapomnienie — ludzie, wydarzenia, nawet uczucia, tylko to pozostanie — urok tych nocy i smak naszej niebezpiecznej przygody.

CHROBAK. Rano. Chuchając w skostniałe z zimna dłonie rozpoczynam niezwykle trudny poziomy trawers samą krawędzią okapów. Zupełna ekspozycja i nadal nie ma w co bić haków. Na początku dwa haczyki tkwiące nie głębiej niż na parę milimetrów. Wisząc na nich mam wrażenie, że stanowią delikatną część mego własnego organizmu, a każdy żywszy ruch zdaje się sprawiać mi ból. Najchętniej nie ruszałbym się wcale. Nie tylko jednak muszę się poruszać, ale wręcz obciążać haki tak, że aż trzeszczą sznurki pętelek. Teraz muszę się wychylić w lewo — bardzo daleko, i prawie leżąc wbić trzeci haczyk, który wchodzi tylko samym czubkiem. Po kilku dalszych słabych hakach i jeszcze jednej „jedynce” wyrasta przede mną pionowa skrajnie trudna ścianka. Wychodzę z ławeczek i staję sam nie wiem na czym. Mięśnie napięte jak postronki, czuję, że mi nagle ulatują siły z rąk i nóg. Trzeba coś robić: chwila koncentracji i szybkość kocie ruchy w górę po skałę. Uff, nareszcie solidny hak. Największe trudności ściany poza nami...

Noc znowu spędzamy osobno. Andrzej wisi 20 metrów ponad nami, my z Tadkiem staramy się zadowolić jak najlepiej. Rozwieszamy sprzęt, podkładamy zapasowe skarpety, żeby poprzeczki ławek nie gniotły nas w uda. Mam nieprzepartą ochotę rozsznurować buty, rezygnuję jednak z tego komfortu w obawie, by nie spadły. Poprzestaję na ruszaniu palcami. To chroni przed odmrożeniem i robimy to wszyscy, nawet przez sen. W środku nocy budzę się z krótkiej drzemki i półprzytomny pytam Tadka: „Gdzie my jesteśmy, co my tutaj robimy?” Tadek tłucze mnie dobrodusznymi pięściami po plecach. „Nie martw się, stary — mów. — Jesteśmy już za okapami...” A, ponad okapami! To pociesza. Jednak już nie zasypiam. Patrzę w dół na martwy krajobraz, na białą płachtę Czarnego Stawu, po której maszeruje cień Kazalnicy, rzucany przez księżyc. Od gwiazd ciągnie przejmujące zimno, po lewej w dole migoce światelko schroniska. „Napilbym się ciepłej herbaty — myślę — a potem owinał w swój śpiwór w pokoiku Kurnika i spał, spał...”

Po lewej: zdjęcie z I (letniego) przejścia ściany. Adam Wojnarowicz w strefie okapów.

Fot. Zbigniew Jurkowski

HEINRICH: Godzina trzecia nad ranem. Zesztywniali od niewygody i skostniali z zimna rozpoczynamy czwarty dzień wspinaczki. Zdrętwiałe mięśnie nie chcą się ruszać, w palcach ból po tylu dniach roboty w okapach. Skała jest pokryta śniegiem a teren nadal ogromnie trudny. Z występów zwisają festony białych sopli. Trzeba już używać czekanów i raków. Pokaleczone dłonie pokrywa pył śnieżny, który spada z góry falującymi strugami i rozgrzany ciepłem ciała zamienia się w wodę, ściskając ramiona lodowatym kompresem. Prowadzę jeszcze dwa wyciągi hakowe, bo ściana nadal stoi dęba, dochodzę wreszcie do wygodnej półki. Udeptuję śnieg nogami i cieszę się jak dziecko, że nareszcie stoję — od trzech dni po raz pierwszy po T. Łaukajtyś podczas zakładania poręczówek w dolnej części ściany.

Fot. Eugeniusz Chrobak



ludzku, na obu stopach. Ściągam chłopaków, Genek zaczyna robić skrajnie trudne zacięcie. Widzę go nad sobą, słyszę jak ciężko dyszy i wyrzuca co chwila wiązanki soczystych przekleństw. Płyną godziny, a niebo traci swój czysty dotąd błękit. Zapada zmierzch, kiedy w podmuchach wiatru dochodzę do stanowiska nad zacięciem, gdzie na wąskiej, uciekającej ku Czarnemu Stawowi półeczce czeka nas czwarty biwak.

CHROBAK. Łagodny szelest wiatru, tak dobrze nam znany z poprzednich mocy, nabiera siły, przemiesza się w zawrodoenie, a chwilami w łomot. Nad granią jarzą się białością strzep prześwietlonej księżycem chmury. „Halny — mówi Tadek. — Tego nam jeszcze brakowało.” Podmuchy strącają w górze płyty śniegu, które zsuwają się otwartą ponad nami depresją jako małe lawinki. Śnieg wypcha się do rękawów, pod kaptury, do spodni. Jesteśmy rzemoczeni i okropnie marzniemy. Nie napijemy się już ciepłej herbaty, gdyż maszynkę benzynową i menażkę zrzuciliśmy rano w dół. Dwuosobową płachtę biwakową staramy się naciągnąć na głowy, ale płachty nie starcza i co chwila któryś wystaje na zewnątrz, wydany na pastwę śniegu i zimna. Porywy wiatru szamocą tkaniną i wyrwywają nam ją z rąk. „Trzymajcie, bo poleci!” — upominamy się wzajem. O śnie nie ma mowy, chociaż oczy kleją się same i zmęczenie porządnie daje się we znaki. Noc ciągnie się w nieskończoność. Wreszcie nadchodzi świt — zmętniały i brudny, z kłębamii zmierzwionych mgieł błędzących wśród turni. Pogoda psuje się z każdym kwadransiem, trzeba się spieszyć...

*

Dwa wyciągi ostatnich trudności otwierają nam drogę ku górze. Jest południe, kiedy po twardym firnie obok bałuchowatych obtopionych nawisów osiągamy szczyt Kazalnicy. Nie trzeba chyba dodawać, że się cieszymy, całujemy, ściskamy. Tylu to już robiło przed nami — dokładnie w tym samym miejscu. Na śniegu leżą porozrzucane czapki i rękawice, walają się sterty lin, ławeczek, haków. Porządkujemy sprzęt, pakujemy do plecaków. Z dołu dobiegają jakieś głosy, a po chwili z mgły wyłaniają się ciemne sylwetki. To chłopcy ze schroniska wychodzą nam naprzeciw, pokrzykując wesoło. Są pomarańcze, jest gorąca herbata, jest czekolada. I radość dzielenia się radością z innymi. Góry dookola stoją czarne, groźne, nastroszone, pełne ciężkich chmur i łomotu halnego, który nas spycha w dolinę. Nie opieramy mu się.

E. Chrobak i A. Heinrich

Pierwszy dzień wojny

W górze Zawratowego Żlebu stoi pod osłoną przewieszki figura Matki Boskiej wykuta z pińczowskiego piaskowca. Osadził ją tu w r. 1904 z pewnej pobożnej okazji ksiądz Walenty Gadowski, taternik i twórca Orlej Perci. Ponad figurą wiedzie przez przewieszające się urwisko Zawratowej Turni krótka lecz śmiała droga wspinaczkowa, jedna z najtrudniejszych w tej okolicy, zwana potocznie „Drogą przez Matkę Boską”. Skromna przewodnikowa wzmianka o pierwszym przejściu zawiera nazwiska Zdzisława Dziędzielewicza i Stanisława Wrześniaka oraz datę: 1 września 1939 roku.

Grzmi...

Ledwo dosłyszalny odgłos dalekiej burzy przerwał ciszę tatrzańskiego poranka. Szliśmy we dwójkę w milczeniu, obwieszeni linami i przystaliśmy nad Zmarzłym Stawem. Wokół było pusto i głucho. Żadnych dzwonek owiec, żadnego turysty, nawet żołnierze KOP przepadli gdzieś bez śladu. Równa tafla wody odbijała wałęsające się po szczytach popielato-sine mgły, przez które chwilami przeglądały płaty błękitnego nieba. Wielkie skalne ucho kotliny stawu znów wyłowiło odgłos dalekiego grzmotu.

— Słyszysz, Zdzichu? — zaniepokoił się mój towarzysz. — Idzie burza, żebyśmy znowu nie musieli zjeżdżać z tej ściany, tak jak w zeszłą niedzielę...

— Co tam burza — odpowiedziałem. — Na razie grzmi daleko, a te mgły są raczej na pogodę, zresztą gdyby nawet, to mamy dwie liny i damy sobie radę. Byle się tylko dostać nad dolne przewieszki, dalej puści. Chodź, nie ma co zwlekać, widzisz przecież co się dzieje na świecie...

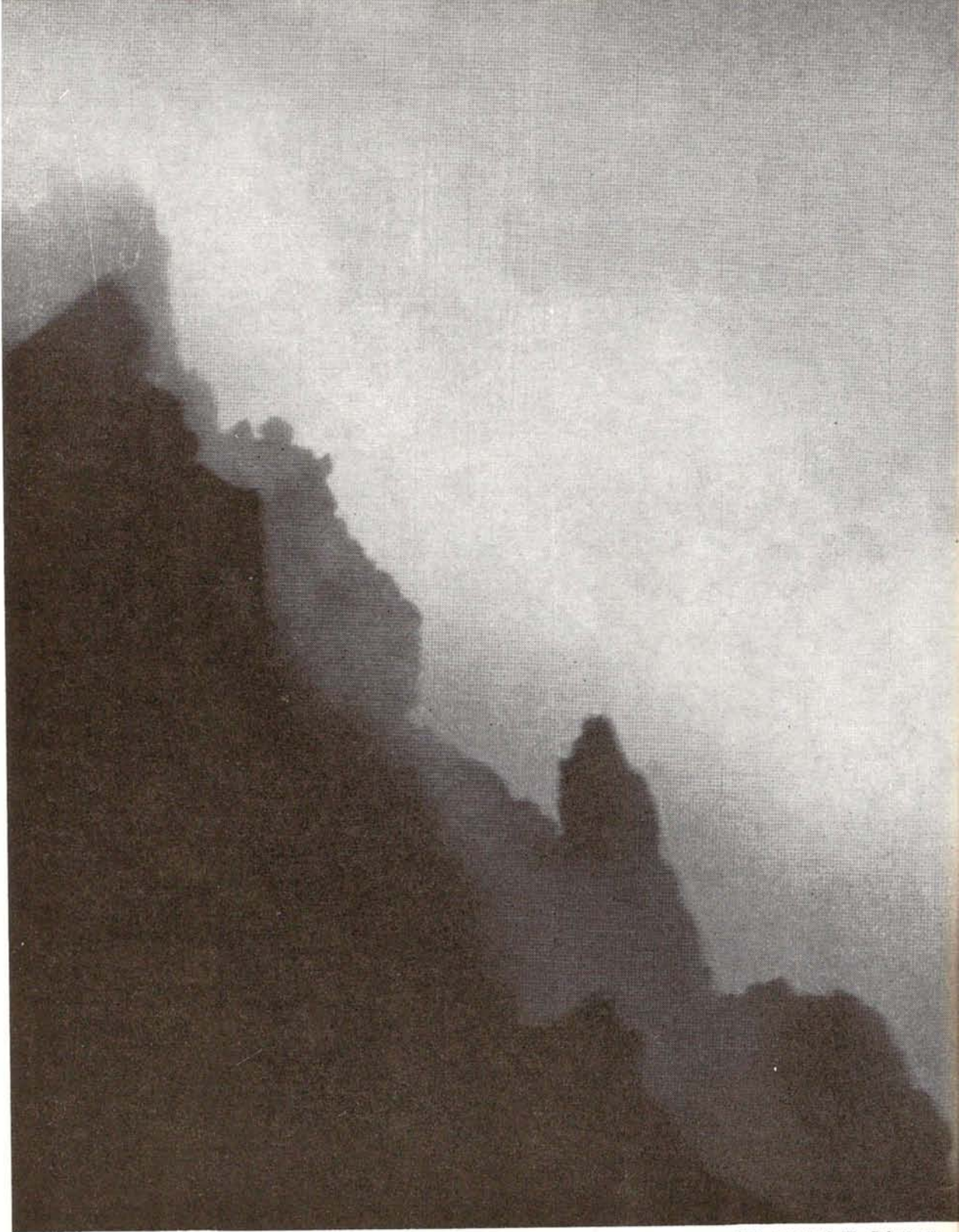
Błękit nieba znowu zajaśniał pośród mgieł, a my ruszyliśmy bez zbyteńnego pośpiechu w górę, poprzez skalne bloki i rumowiska. Za nami w dole zostawali ludzie, strach, chaos i wisząca w powietrzu wojna. Po Zakopanem chodziły złe wieści. Chłopiec posłany na Przełęcz pod Kopą natknął się podobno na gniazdo karabinów maszynowych z niemiecką obsadą. „Skąd Niemcy na Słowacji?” — zachodziliśmy w głowę. Ostatni goście z Warszawy, Krakowa i Lwowa w pośpiechu opuszczali Tatry.

Wczoraj ogłoszono w Zakopanem powszechną mobilizację. Część powołanych natychmiast wyjechała do jednostek. Jako oficer rezerwy opuścił góry znany taternik, Marian Kozik (słynna „rysa Kozika” na Zabiej Łalce), zniknął gdzieś były towarzysz Stanisława Motyki, niedźwiedziowaty Jaś Sawicki wraz ze swoim aktualnym partnerem z liny, Jurkiem Hajdukiewiczem. My obaj ze Staszkiem Wrześniakiem poszliśmy w góry. Prawdę mówiąc, nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Nie pamiętaliśmy, jak wygląda wojna, a polityka ani nam była w głowie. Zresztą Staszek ze swoją sztywną w kolanie nogą nie podlegał obowiązkowi służby wojskowej, ja zaś miałem odroczenie jako student. Poza tym wszystkim mieliśmy porachunki z Matką Boską pod Zawratem, i to wcale nie religijnej natury.

*

Wiązaliśmy się starannie pod ścianą dwiema dobrymi linami: białą, kręconą z konopi włoskich i złotą, plecioną spiralnie z manili. Figura Matki Boskiej jaśniała na lewo od nas wśród ruchliwych obłoków mgły. Kilka tygodni temu Staszek próbował przejść ścianę mniej więcej wprost nad figurą. Pokonał całą wielką przewieszkę, ale odpadł znad jej górnej krawędzi, dobrze zresztą asekurowany przez słynnego skoczka narciarskiego, Jasia Kulę. Wiadomość o niepowodzeniu ataku ściągnęła wkrótce pod ścianę znakomitego asa taternickiego, Stanisława Motykę, ale i jego próba z towarzyszem Jerzym Handszerem nie dała rezultatu. W tydzień po nich byliśmy tu obaj ze Staszkiem Wrześniakiem i wypatrzyliśmy inną możliwość wejścia w ścianę — około jedną długość liny od figury w dół żlebu. Niestety już na drugim wyciągu złapała nas ulewa i zmusiła do odwrotu. Zjechaliśmy. Zostały haki i został zrobiony pierwszy wyłom w „niedostępnej” ścianie.

Teraz związaaliśmy się znowu i czerwonym zacięciem weszliśmy na znajomy balkon. Odgłosy burzy jakoś ucichły, pewnie się oddaliła. Staszek z wielkim mozołem pokonał po raz drugi nieco przewieszony filar, chwilę tkwił wysoko nade mną, rozkrzyżowany na tle nieba, a potem zniknął mi z oczu i tylko miękki ruch lin był znakiem, że wspina się



Mgły na graniach.

Fot. Ryszard W. Schramm

dalej. Liny stanęły, posłyszałem dźwięk wbijanego haka, a po chwili „chodź!”. Ruszyłem w górę i z największą ciekawością wychyliłem głowę ponad czarne załamanie filara. Staszek siedział zaaklinowany w pęknięciu, na skraju rozległych seledynowych płyt. Dziwnie piękne były te płyty. Kontrastowały ostro z czarnym dołem i wyglądały, jakby świeciły własnym światłem. Ale oczy zamiast cieszyć się ich urodą, nawykowo pobiegły w górę, w poszukiwaniu dalszej drogi. Z jej wyborem nie było trudności: gładzinę płyt nakrywał poziomy okap drugiego z kolei pasa przewieszek, a na ukos w lewo wyla głęboka schodkowata rynna, zakończona wyżej wciętym narożem w formie otwartej nyży.

*

Nyża była głęboka i jakby stworzona na stanowisko asekuracyjne. Można się w niej było urządzić wygodnie, a gruby wycior z kółkiem dawał pełną gwarancję bezpieczeństwa. Odsapnąłem trochę, przepięłem liny i zacząłem ściągać Staszka. Do tej porv wyteżająca wspinaaczka odsuwała na dalszy plan wszelkie sprawy nie związane z nią samą. Jak pójść dalej? gdzie wbić hak? jak ominąć ruchomy blok? — te pytania były stokroć ważniejsze od pomruków burzy, a nawet od mglistego i niejasnego niebezpieczeństwa wojny. Na wygodnym stanowisku napięcie zmalało, a zmysły znowu zainteresowały się otaczającym światem. Fale mgieł nieustannie płynęły ku Słowacji, gdzieś odezwał się świstak, przez powłokę niskich chmur na moment przedarło się słońce i musnęło nas po twarzach miłym ciepłem. Staszek siedział obok mnie wyciągnąwszy przed siebie obute w tenisówki nogi. Milcząc żuliśmy chleb z bundzem i zagryzaliśmy kostkami cukru. Nagle gdzieś zza grani doleciał już wyraźniejszy odgłos grzmotu a potem cała ich seria. Po chwili powtórzyło się to znowu, przy czym dudnienia były krótkie i jakoś dziwnie regularne. Nadstawiliśmy uszu i spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni.

— To nie burza, Staszku, to armaty lub bomby...

Staszek był tego samego zdania.

— Więc może wojna?

— E, chyba ćwiczenia...

Naczęliśmy się w naszej prasie zbyt dużo o słabości Niemców i o tym, jacy to sami jesteśmy „silni, zwarci, gotowi”, by chociaż na chwilę dopuścić myśl, że to grają armaty niemieckie. Gdyby nawet wybuchła wojna, na-przód mogły iść tylko nasze wojska. Jedno w każdym razie było pewne: nie groził nam deszcz ani pioruny i można się było wspinać dalej bez merwowego pośpiechu. Staszek zerknął niechętnie w stronę Zmarzłego Stawu.

— Zobacz — powiedział i pokazał ręką w dół.

W kierunku przełęczy szedł szybko przez pustkowie górskie jakiś samotny człowiek. Wpatrzyłem się dobrze i poznałem: to był mój brat, Leszek. I znowu musiałem się zdziwić: „co tutaj robi Leszek? Miał przecież siedzieć w domu i uczyć się do egzaminu... Czyżby coś się stało?” Szedł żwawym krokiem, więc postanowiliśmy poczekać na niego w wygodnej nyży, z której prawdę mówiąc, nie bardzo nam się chciało wyleźć. Jakoż po pół godzinie od skał Małego Koziego dobiegło urywane wskutek zmęczenia wołanie:

— Heeej! Słuchajcie!

Wychylił się obaj z nyży w stronę skał nad źlebem. Akustyka jest tam dobra i Leszka było słychać doskonale, nie musiał nawet zbyt nasilać głosu. Milczał chwilę a potem zaczął powoli wołać oddzielając sylaby:

— Słuchajcie! Jest wojna. Przyszedłem wam powiedzieć, że jest wojna. Niemcy są już w Kościeliskach, a Zakopane odcięte...

Zrobiło mi się dziwnie na sercu. Opartem głowę o chłodną skałę i odetchnąłem ciężko. A więc jednak wojna! To, czego się wszyscy tak lekali i w co nikt nie chciał na serio uwierzyć, stało się faktem. Była wojna i w dodatku Niemcy szli w głąb Polski. A my tu na ścianie w okrażonych przez nich Tatrach. Staszek znowu wyciągnął szyję w stronę Leszka:

— Niemcy w Kościeliskach? — zapytał, jakby treść informacji dotarła do niego dopiero teraz. — A co nasi?

— Naszych nie ma! — doleciało z dołu, a potem zachrobotały kamienie pod gwoździakami butów, bo Leszek chciał podejść wyżej na skały.

— Zaczekaj na nas — zawołałem do niego. — Najpierw musimy skończyć drogę!

*

Oczy i myśli powróciły znowu do urzekających seledynowych płyt. Widzieliśmy wprawdzie, że łatwiej byłoby wyjść z nyży w lewo, na kant filara, kusily nas jednak przewieszki i piękne skalne gładziny pod nimi, gdzie można się było wspaniale powspinać. Klasyczna technika tu już nie wystarczała. Staszek chwycił się więc haka i dyndając nogami w powietrzu wciągnął się przez pierwszą z kolei przewieszkę. Dalej aż pod sam dach głównego okapu wspinał się z wysiłkiem klinując dłoń w pionowym pęknięciu i zapierając łokcie o ściany wcięcia. Jego silne z siły ręce i tym razem wytrzymały wysiłek, a łyżka wbita pod samym okapem pozwoliła mu chwilę odopcząć. Zawiesił właśnie na haku jedyną pętlę, jaką zabraliśmy z sobą, kiedy gdzieś od Pięciu Stawów odezwał się dziwny nie-



Zdjęcie-dokument z I zaawansowanej próby przejścia Wariantu R na Mnichu w sierpniu 1939 r. Po lewej Stanisław Wrześniak, po prawej Zbigniew Kubiński.

Fot. Zdzisław Kirkin-Dziędziewic

znany nam dźwięk, który spotężniał szybko i przeszedł w potworny ryk, ogarniający całe góry.

— Chowaj się, samoloty! — krzyknął i wcisnął głowę pod dach przewieszki, jak to się zwykle czyni na odgłos spadającego kamienia.

Niesamowity łomot przetoczył się ponad dymiącą mgłą Orlą Percią i ucichnął po północnej stronie, tak samo szybko, jak przyszedł. Po chwili wrócił raz jeszcze, rozniesiony przez echa w dolinach a potem nastąpiła martwa dzwoniąca cisza. Ostrożnie wychylił się z nędzy, do której przytuliłem się na krzyk Staszka, i rozejrzałem się dokoła. Staszek trwał jeszcze chwilę skulony przy ścianie, wreszcie — trzymając się karabinka — zadął głowę do góry i jął się wpatrywać w mgły nad nami, jak gdyby w nich coś się jeszcze miało dziać.

— Ale ryk — powiedział zdenerwowany. — W życiu takiego nie słyszałem. Myślałem, że zlece.

I dodał już trochę uspokojony:

— Jak myślisz? Chyba nas nie zobaczyli w tej mgle...

*

Górny okap okazał się za trudny do przebycia wprost od nędzy przy pomocy jednej tylko pętli, więc Staszek chcąc osiągnąć kazalniczkę zygzakiem poprzez wyrwę w przewieszce rozpoczął pozbawiony stopni trawers w prawo przez pionowe gładziny górnego skraja płyt. Obserwowałem pilnie jego wyważone ruchy, wolno wypuszczając liny. Jednakże dręcząca myśl o wojnie nie chciała się już ode mnie odzepić. Nowina spadła raptownie, trzeba się z nią było oswoić, opukać ją z uwagą ze wszystkich stron. Co począć dalej, co robić? Wspinaczka dawała chwilowe zapomnienie, a ściana poczucie pewności i bezpieczeństwa. Odgradzała nas ona od ludzi, od wojny, od Niemców, od konieczności podejmowania ostatecznych decyzji. Póki byliśmy tutaj, mogliśmy się czuć całkowicie bezpieczni. Ale przecież nie mogliśmy uwić gniazda

w wyży i pozostać na ścianie jak pomurniki. Trzeba było kończyć drogę i wracać. Dokąd? Po jaki los?

— Uważaj!

Staszek wyciągnął swoją sztywną nogę w efektownym baletowym rozkroku (wszyscy mu zazdrościli tych jego wspinających „szpagatów”), wbił hak tuż ponad trawiastą półką i chwyciwszy się go ręką płynnym ruchem opuścił płyty, pozostawiając na nich dla mnie rętle. Wkrótce osiągnął kazalnica już ponad kluczowymi trudnościami ściany. Z wielkim mozołem doszedłem do niego, wybijając haki — i znowu ja przejąłem prowadzenie. Było tu już łatwiej, lawirowałem więc bez większych przeszkód wśród przewieszonych ścianek i uskoków, poprzez balkon, zacięcie i trawiaste stopnie.

Kiedy na szczycie — bez zwyczajnej radości i podekscytowania — rozwiązaliśmy się z lin, w ciepłej mgłę zamajaczył ludzki kształt, w którym bez trudu rozpoznaliśmy Leszka. Zbliżył się przygębiony i usiadł na kamieniu obok nas.

Dzisiaj rano — mówił — była chyba piąta, zobaczyłem mały czarny samolot nad Zakopanem. Zrobił koło nad miastem i odleciał. A potem ludzie widzieli czołgi z czarnymi krzyżami na szczycie Gubałówki... Kto może ucieka na wschód. Przed południem było jeszcze wolne przejście przez wodę koło Nowego Targu. Ja nie mogłem was tu zostawić bez wiadomości, więc przyszedłem do was. Wziąłem trochę jedzenia...

Nie mieliśmy gotowego planu działania. W górach czuliśmy się u siebie, więc należało

chyba w nich pozostać, aż do czasu, kiedy nasze wojsko odbije Tatry. Do zaprzyjaźnionych Bustrzyckich na Hałę mieli przyjść nasi przyjaciele — Czesiek Wrześniak, bracia Kulowie i niezawodny Rysiek Kubiński. W „Mirowańcu” oczekiwano Stanisława Motyki i „Wawy” Żuławskiego. W gromadzie będzie różniej i jakoś pewniej. Tymczasem — nie kwapiąc się do powrotu — porządkowaliśmy pokrzywione haki i powolnymi ruchami zwiłaliśmy liny. Raz po raz padały lakoniczne uwagi dotyczące przebytej drogi, ale czuło się, że wszyscy myślimy o czym innym. Ściana była za nami, tamto nas dopiero czekało. Zarzuciliśmy liny na plecy i zaczęliśmy schodzić w dół spadzistym stokiem.

Z rozdartych przez wiatr obłoków wynurzył się widmowy uskok Niebieskiej Turni a dalej majestatyczny masyw Szwynicy. W dole błysnęło niebieskie oko Zadniego Stawu wciśnięte w obręcz piarżysk. Od skał promieniowała dziwna moc a z głębin pod nami, od jezior i zielonych hał tchnął ku nam spokój. Wchłaniałem ten widok, jak gdybym chciał nabrać w siebie tej mocy i tego spokoju — na zejście w doliny, na całą złowrogą i niewiadomą rzeczywistość wojny. Gdzieś na północy, poza grania, znowu dudniły armaty.

Zdzisław Kirkin-Dziędzielewicz

Kilka szczegółów technicznych. Pierwszej próby wejścia dokonał dnia 11 sierpnia 1939 r. Stanisław Wrześniak z Janem Kulą, tuż na prawo od figury Matki Boskiej. Około 18 sierpnia atak powtórzył

Panorama spod Zawratu.

Fot. Janusz Vogel



Stanisław Motyka mając za towarzysza Jerzego Handszera, nie znanego wówczas w zakopiańskim środowisku. Właściwe wejście w ścianę wyszukaaliśmy we dwójkę ze Stanisławem Wrześniakiem — 25 sierpnia, pokonując przewieszoną część filara (niepełne 2 wyciągi). Podczas przejścia ściany w dniu 1 września byliśmy wyposażeni w 2 liny o przekroju 10 mm i długości 35 m — jedną kręconą z konopi włoskich (wyrobu polskiego), drugą plecioną z manili. Obie były znacznie trwalsze niż używane obecnie liny szalowe. Dwóch lin używaliśmy zwykle na trudniejszych drogach, jednakże tylko ze względów bezpieczeństwa; technika podciągu nie była nam jeszcze w szczególności znana. Jako jedni z pierwszych — już w r. 1933 —

zaczęliśmy się wiązać na wysokości piersi z „szelkami“. Był to wpływ literatury austriackiej. Stosowaliśmy generalnie technikę klasyczną, kiedy jednak było potrzeba, chwytailiśmy się haków. Pętli jako strzemion używaliśmy bardzo rzadko — na ogół nie miały one poprzeczek, chociaż czasem stosowaliśmy i takie (np. przy próbie Wariantu R na Mnichu w sierpniu 1939 r.). Na „Matkę Boską“ zabraliśmy tylko jedną pętlę. Karabinków wzięliśmy 8, haków 13, w tym 5 wyciorów z kółkami, 4 łyżki (jak dzisiejsze) i 4 piętówki. łyżki zamawialiśmy u kowala według modeli zamieszczanych w książkach alpinistycznych.

Z. D.

2 x Filar Walkera

24 stycznia 1963 roku Walter Bonatti i Cosimo Zapelli zaatakowali Filar Walkera na Grandes Jorasses, którego letnie przejście wciąż jeszcze uważa się za kartę wstępu do alpejskiej ekstraklasy. Bonatti oczywiście miał już tę drogę na swoim koncie. W lecie 1949 r. przeszedł ją ze swoim przyjacielem i partnerem Andrea Oggionim, którego stracił w lipcu 1961 r. podczas tragicznej próby włosko-francuskiego przejścia filara Freney na Mont Blanc.

Bonatti i Zapelli spędzili w ścianie 7 dni i 6 nocy przy temperaturze nie podnoszącej się powyżej -30° . Cały 1200-metrowy filar pokrywał lód. Najtrudniejszym odcinkiem był 100-metrowy mur Czarnych Pięt, niezwykle stromych a na dodatek powleczonego 20-centymetrową warstwą lodu. W dniach 26 i 27 stycznia nie posunęli się ani o metr w górę, uwięzieni w jednej czwartej wysokości filara przez burzę śnieżną. Mimo to 28 stycznia sforsowali już słynny trawers z wahadłem i zabiwakowali jeszcze 40 metrów wyżej. Na jutro zadali zaciekłe broniącej się ścianie decydujący cios: przy burzy śnieżnej i temperaturze -35° padły „Czarna Turnia“ i „Czerwony Komin“. Ostatnią noc spędzili 150 metrów poniżej Pointe Walker (4208 m). Dnia 30 stycznia osiągnęli szczyt i na godzinę 20 zeszli do Courmayeur. Tutaj Zapelli, który cierpiał podczas wspinaczki na dotkliwy ból zębów, pobiegł do dentysty, Bonatti zaś aż do trzeciej nad ranem zaspokajał opowiadaniem ciekawość przyjaciół i dziennikarzy.

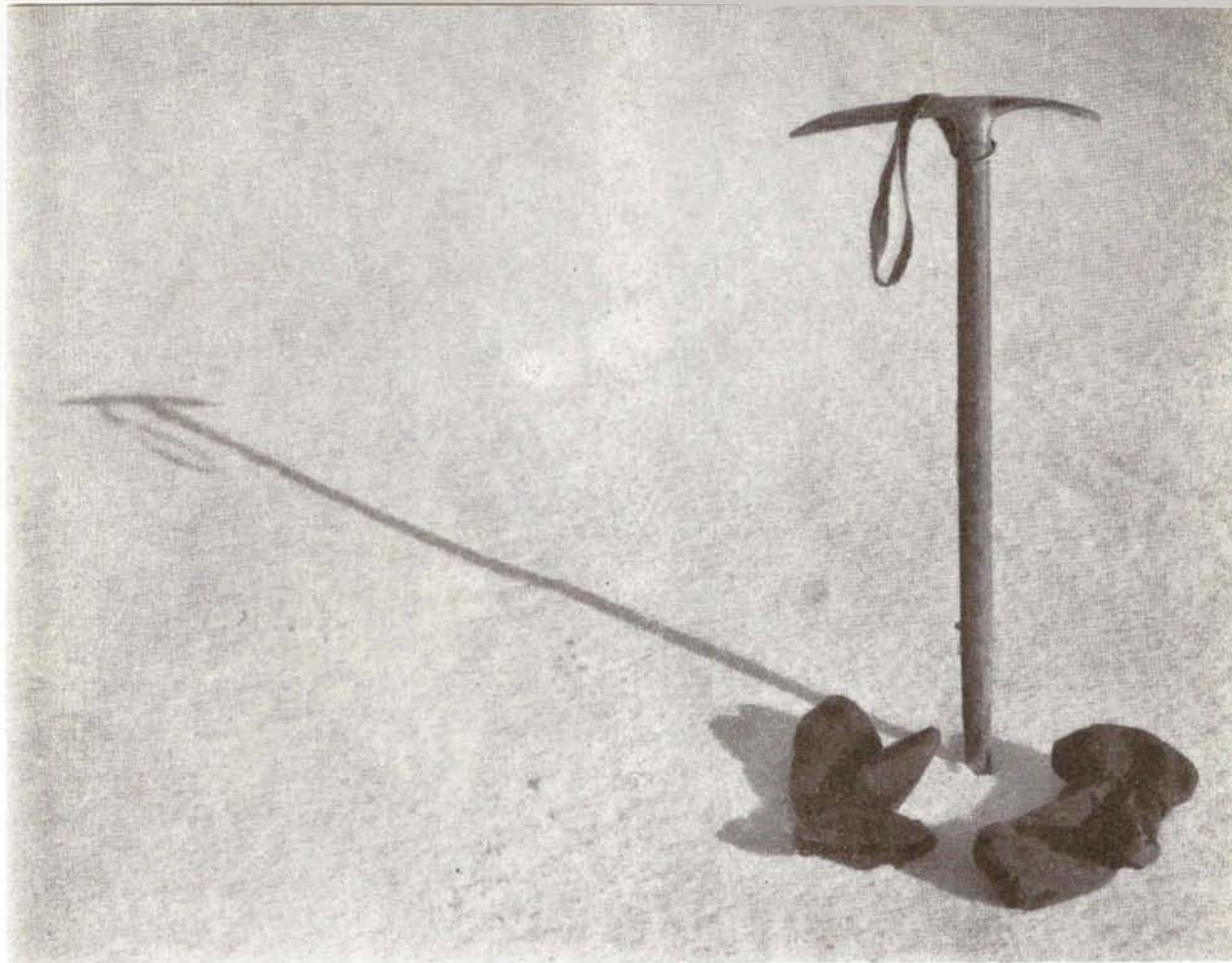
Wielkie ilustrowane magazyny — włoska „Epoca“ i francuski „Paris-Match“ poświęciły w dwóch kolejnych numerach po kilka kolumn nowemu alpejskiemu rekordowi. Obszerne teksty ilustrowano znakomitymi zdjęciami Bonattiego, wykonanymi podczas wspinaczki z absolutną dbałością o wartość dokumentarną,

sensacyjną i walory artystyczne. Sprawozdania z przejścia Walkera, mimo wszystkich dziennikarskich chwytów, sprawiły jednak wrażenie, że wyczyn odbył się bez elementów dramatycznych, właściwie bez historii. Wszystko było przewidziane, wszystko mieściło się w planie, a obaj wspinacze za swój wspaniały rekord — największy wyczyn zimy alpejskiej 1962/63 — zapłacili tylko nieznacznymi odmrożeniami. Wobec Bonattiego powtórzono zwykłe epitety: „nadczołowiek“, „najlepszy wspinacz świata“, „alpinista, który zawsze wraca“. Mały, 27-letni Cosimo Zapelli wszedł za jednym zamachem do alpinistycznej czołówki.

Tymczasem już 5 lutego ścianę zaatakował zespół francuski — René Desmaison (lat 31) i Jacques Batkin (lat 30). Ósmego lutego w Courmayeur przyjmowali gratulacje z rąk swoich poprzedników. Desmaison i Batkin wykorzystali handicap, jakim były dla nich relacje, ślady i haki Włochów, aby skrócić czas przejścia o połowę — do 3 dni, przy czym do trzeciego biwaku zaledwie 100 m poniżej szczytu zmusiło ich gwałtowne załamanie pogody. Podkreśla się fakt, że Batkin, towarzysz rutynowanego „zawodowca“, Desmaisona, mieszka stale w Paryżu i, podobnie jak Zapelli, dopiero zimowym przejściem Filara Walkera dał się poznać szerszej alpejskiej publiczności.

Dwa w wielkim stylu zimowe przejścia Filara Walkera dokonane w odstępie kilku dni! Ostatni — jak się mówi — wielki problem zimowy Alp rozwiązany! Stało się to możliwe dzięki ogromnemu postępowi technicznemu w alpinizmie, a przede wszystkim dzięki wieloletniemu stalemu treningowi i doświadczeniu alpejskich mistrzów, które zapewniają im nieprzerwany wzrost formy.

Tomasz Łubiński



Fot. Janusz Vogel

Zimowy sezon taternicki 1962|63

Zima 1962/63 była konsekwentną kontynuacją rekordowego sezonu letniego 1962. Na pn.-wschodniej ścianie Kazalnicy pokonano po raz pierwszy w zimie obie najtrudniejsze drogi: lewy filar oraz drogę Momatiuka, wiodącą na prawo od niego. Trudno bardziej wyróżnić któreś z tych dwóch osiągnięć: o ile w pierwszym wypadku imponujący był styl, w jakim dokonano wejścia, o tyle w drugim mieliśmy do czynienia z niesłychaną odpornością i wolą zwycięstwa w czasie pięciodniowej wspinaczki. Dużej klasy wyczyny na Kazalnicy nie przysłoniły jeszcze jednego zjawiska, które napawa optymizmem: chyba nigdy dotąd w zimie nie pojawiło się w Tatrach tylu doskonałych młodych wspinaczy, jak właśnie tym razem. Cykl rozwoju alpinistycznego młodych

taterników uległ wyraźnemu skróceniu, co — z zachowaniem pewnych granic — trzeba uznać za objaw pozytywny.

Przy ocenie sezonu zimowego 1962/63 nasuwa się jednak także kilka krytycznych uwag.

Problem poręczowania był już głośno dyskutowany w kołach taternickich i do ostatecznych wniosków dyskusje te nie doprowadziły. Poręczowanie stało się tymczasem praktyką, którą można potępiać, ale z którą trzeba się było w końcu pogodzić. Wraz z podnoszeniem się technicznego poziomu taternictwa zimowego znaczenie tego problemu wydawało się zmniejszać. Ostatnie zimowe wejścia na pn.-wschodniej ścianie Kazalnicy odbyły się jednak znowu przy pomocy poręczówek — i to nie tylko pierwsze, ale także dalsze z kolei.

Trzeba w związku z tym faktem postawić następujące pytania:

● Czy wolno na cały sezon zajmować ściany poręczówkami rozwieszonymi w grudniu.

● Czy w zaporcęzowanej ścianie ma prawo wejść inny zespół.

● Kto ma obowiązek zdjęcia poręczówek w czasie, lub po dokonaniu przejścia;

W minionym sezonie dało się też zauważyć lekceważenie obiektywnych niebezpieczeństw gór. Wypadki z lawinami pod Żabim Szczytem Niżnim i w drodze na Ganek, aczkolwiek szczęśliwie zakończone, stanowią poważną przestrożę na przyszłość.

Czasowe zamknięcie granicy polsko-czechosłowackiej w rejonie Tatr w kwietniu 1963 r. spowodowało ograniczenie działalności wspinaczkowej praktycznie biorąc do otoczenia Morskiego Oka. Trudno jednak zrozumieć pęd do tłumnego przebywania „modnych” ścian, jak np. północna Mięguszwieckiego Szczytu (kilkanaście przejść), czy pn.-zachodnia Niżnich Rysów. Wiele pięknych dróg zimowych pozostało zupełnie nie zauważonych, jak np. droga Świerza na wschodniej ścianie Mięguszwieckiego Szczytu czy długie drogi w rejonie Wołowego Grzbietu. Nieliczne osiągnięcia w tej partii gór to dorobek grudniowy!

Działalność wyczynowa w Tatrach Słowackich była z wyżej wymienionych powodów bardzo skromna. Kilka zespołów uprawiało działalność indywidualną, odbył się też obóz centralny pod namiotami w Dolinie Kaczej, nawiasem mówiąc mający w swym dorobku bardzo ładne wyniki.

Za zjawisko negatywne trzeba też uznać skupianie się działalności wyczynowej w końcu sezonu zimowego — w kwietniu, kiedy panują zwykle najbardziej sprzyjające warunki. Ogólny wzrost poziomu taternictwa zimowego powoduje, że wyczynu należy szukać nie tylko w samym fakcie przejścia danej drogi, ale przejścia jej w warunkach naprawdę zimowych — w grudniu, styczniu czy lutym. Wspinaczka w tych miesiącach to doskonałe przygotowanie do zimy alpejskiej, co nie jest obecnie bez znaczenia przy przyjętym kierunku polityki sportowej Klubu. W związku z istniałą sytuacją Komisja Sportowa szczególnie wysoko będzie oceniała przejścia dokonywane we wczesnym okresie zimy, a po zasięgnięciu opinii przedyskutuje projekt skrócenia czasu trwania sezonu zimowego do okresu zimy kalendarzowej.

Wykaz ważniejszych przejść

A. Okres wczesnej zimy

Działalność wspinaczkowa w tym okresie była tej zimy bardziej ożywiona, niż w po-

przednie. Sezon rozpoczęli E. Chrobak i T. Łaukajtys od nieudanych prób zdobycia filara Kazalnicy. Zaporęczowali przy tym ok. 150-metrowy odcinek ściany.

Mała Rogata Szczerbina. Pn.-wsch. zlebem (drogą Węgrzynowicza i Nowickiego): J. Kurczab, R. Szafirski i K. Zdzitowiecki, 18 i 22 XII 1962.

Kazalnica Mięguszwiecka. Prawą częścią ściany (drogą Korosadowicza i Staszla): R. Szafirski i K. Zdzitowiecki, 20 XII 1962.

Wołowy Grzbiet. Pn.-wsch. filarem. J. Mostowski i M. Popko, 27 XII 1962. B. Skoczylas i M. Bernadt, 28 XII 1962.

Rysy. Pn. ścianą na zach. grań (drogą Zaremby) — I wejście zimowe: M. Pogorzelski i K. Zdzitowiecki, 28 XII 1962.

B. Okres pełnej zimy

Wyjątkowo ostre warunki, jakie panowały w tym okresie oraz duże niebezpieczeństwo lawin spowodowały, że zanotowaliśmy tylko jedno poważniejsze osiągnięcie:

Mięguszwiecki Szczyt. Pn. ścianą wprost (tzw. „dirtissima”): W. Biederman i K. Głazek, II 1963.

C. Okres wczesnej wiosny

W kwietniu panowały niezłe warunki, szczególnie na drogach skalnych. Krótkie załamania pogody, które przerywały okres b. pogodny pogarszały jednak zdecydowanie warunki śnieżne.

Kazalnica Mięguszwiecka. Lewym filarem pn.-wsch. ściany: L. Saduś i R. Szafirski, 3—4 IV 1963 (I wejście zimowe). J. Potocki i R. Rodziński, 7—9 IV 1963. R. Berbeka i H. Furmanik, 21—23 IV 1963. H. Horak i J. Junger, 23—24 IV 1963. Podczas wszystkich przejść ominięto jednak ścianę czołową filara (6 długości liny), która zimą może stanowić poważny problem. Na ok. 150-metrowym odcinku korzystano z poręczówek.

Kazalnica Mięguszwiecka. Pn.-wsch. ścianą (drogą Momatiuka): E. Chrobak, A. Heinrich i T. Łaukajtys, 6—10 IV 1963. I wejście zimowe. Na ok. 150-metrowym odcinku korzystano z poręczówek.

Mięguszwiecki Szczyt. Prawą częścią wsch. ściany (I wejście zimowe): Z. Jurkowski, J. Kurczab i M. Popko, 3—4 IV 1963.

Mięguszwiecki Szczyt. Pn.-wsch. grzędą: W. Biederman i M. Pogorzelski, 9 IV 1963. J. Bobok i J. Feroński, 16 IV 1963.

Niżnie Rysy. Pd.-wsch. ścianą (drogą Węgrzynowicza i Nowickiego): M. Bernadt i J. Chalecki, 15 IV 1963. I wejście zimowe.

Rysy. Lewą depresją wsch. ściany (drogą Biela i Mostowskiego): J. Hanasiewicz, A. Mróz i M. Popko. I wejście zimowe.

Ciężki Szczyt. Środkiem pn.-wsch. ściany: J. Rudnicki i A. Zyzak, 9 IV 1963 (I polskie wejście zimowe).

Wysoka. Pn. ścianą (drogą Kordysa): B. Kozłowska, B. Wojciechowska, K. Balkau (NRD), A. Mróz i A. Skoczylas, 14 IV 1963.

Ganek, Lewą częścią wsch. ściany: K. Cielecki, J. Krajski i A. Zawada, 6—7 IV 1963. I wejście zimowe.

Kacza Turnia. Prawym filarem wsch. ściany: K. Cielecki, J. Polkowski i A. Zawada, 17 IV 1963. I wejście zimowe.

Pośrednia Śnieżna Kopa, Pn. granią. K. Cielecki, J. Klauznicer i K. Dzidowiecki, 14 IV 1963.

Zastonista Turnia. Depresją Sawickiego: J. Krajski i P. Misiurewicz, 18 IV 1963.

Wielicki Szczyt. Pn. grzędą z Litworowej Doliny: J. Krajski, P. Misiurewicz i T. Puchaczewska, 17 IV 1963.

Lodowa Przełęcz Wyznia. Przez Śnieżną Dolinkę: B. Wojciechowska i A. Skoczylas, 4 IV 1963.

Kieżmarski Szczyt. Pd. ścianą (drogą Puškaša): B. Wojciechowska i A. Skoczylas, 6 IV 1963.

Poza powyższymi przejściami dokonano szeregu innych, jak np. „direttissima” pn. ściany Mięguszwieckiego Szczytu (kilkanaście przejść), zach. grzędą Niżnich Rysów (3 przejścia), pn.-zach. ścianą Niżnich Rysów (3 przejścia), drogą Świerza na Mięguszwieckim Szczycie Pośrednim (2 przejścia) itp.

Komisja Sportowa ZG KW

Zima 1962|63 po słowackiej stronie Tatr

Ten krótki artykuł nie rości sobie pretensji do roli szczegółowego i wyczerpującego podsumowania zimowego sezonu wspinaczkowego 1962/63. Autorowi nie starczyło czasu na zgromadzenie pełnego materiału, chce się wobec tego ograniczyć do zasygnalizowania polskim czytelnikom tego, co — jego zdaniem — z licznych przedsięwzięć i dokonań szczególnie zasługuje na uwagę.

Polscy taternicy zgodzą się chyba z twierdzeniem, że pogoda i warunki śnieżne „zimy stulecia” nie sprzyjały wielkim wyczynom w górach. Pierwsze miesiące przyniosły wprawdzie duże opady śniegu, ale równocześnie i silne mrozy, które — zwłaszcza na północnych ścianach — utrzymywały śnieg w stanie sypkim, przeciwdziałając tworzeniu się firnu. Ostatnie dni marca zostały zanotowane w kronikach jako szczególnie narażone na lawiny. Że nie było to niebezpieczeństwo tylko teoretyczne, świadczy tragiczna śmierć Zděnka Hrubca, członka czechosłowackiej kadry narodowej, a także poważne kontuzje innych wspinaczy.

Nie można więc powiedzieć, że wyniki tej zimy świadczą o obniżeniu poziomu taternictwa, jakkolwiek przecież poprzednie sezony były znacznie bogatsze w kapitalne sukcesy.

Oto w chronologicznym porządku niektóre ważniejsze osiągnięcia słowackich taterników:

Jaworowy Szczyt. Pn. ścianą, drogą Kuchaša: I. Bajo i J. Durana, 29—30 III. II przejście zimowe.

Pośrednia Grań. Wsch. ścianą, drogą Korosadowicza: I. Gálfy i I. Urbanovič, 4 IV.

Mały Kieżmarski Szczyt. Pn. ścianą, drogą Stanisławskiego: M. Matras i J. Budin, 5 IV.

Rogowa Crań. Środkiem pn. ściany, z Doliny Jaworowej: I. Gálfy i I. Urbanovič, 5 IV. I przejście zimowe.

Wysoka. Pn. ścianą, drogą Stanisławskiego: K. Hauschke i J. Durana, 7 IV.

Galeria Gankowa. Drogą Stanisławskiego: I. Gálfy i I. Urbanovič, 8 IV.

Rumanowy Szczyt. Pn.-wsch. ścianą, drogą Bernadzikiewicza: K. Hauschke i J. Durana, 9 IV. I przejście zimowe.

Galeria Gankowa. Drogą Kuchaša: K. Hauschke i J. Durana, 16—17 IV 1963. I przejście zimowe.

Galeria Gankowa. Filar Puškaša: J. Weinziller i J. Kertész, 21 IV.

Żabia Turnia Mięguszwiecka. Pn. ścianą, drogą Korosadowicza: K. Hauschke i J. Durana, 22—23 IV.

Osiągnięciami dużej klasy wykazują się też zimy wspinacze z NRD, którzy bawili w Tatrach Słowackich w marcu i kwietniu. Nastawili się oni na przejścia przede wszystkim północnych ścian w ciężkich warunkach zimowych. Obozując w dolinach Mięguszwieckiej, Złomisk, Wielickiej i Kieżmarskiej dokonali kilkunastu poważnych powtórzeń znanych dróg, przeważnie w dobrym czasie i w ładnym — jak na kadrę z treningiem głównie skałkowym — stylu. Przebyte zostały m. in.: wsch. ściana Rysów, dwie drogi na Galerii



Z zimowego przejścia grani Tatr
Fot. Andrzej Zawada

Gankowej (IV i VI), pn.-wsch. filar Ganku, lewy filar Rumanowego Szczytu z Doliny Złomisk, pn. ściany Małej Wysokiej i Batorywieckiego Szczytu, droga Birkenmajera na Gierlachu i inne. Na czoło osiągnięć trzeba wysunąć przejścia ambitnego i doświadczono-

nego zespołu w składzie K. Richter, F. Eske i G. Kalkbrenner, który w wyjątkowo ciężkich warunkach przeszedł drogi Stanisławskiego na pn. ścianach Wysokiej i Małego Kieżmarskiego Szczytu w czasie 8 i 9 godzin! Po raz pierwszy zawiązał zimą w Tatry Herbert Richter, uważany za najlepszego skalolaza NRD — trzeba dodać, że również na śnieżnych drogach radził sobie znakomicie.

Przegląd ten — powtarzam — nie obejmuje wszystkiego, czego w zimie 1962/63 w Tatrach Słowackich dokonano, brak m. in. danych o dorobku czeskich wspinaczy, jednakże wydaje mi się, że wszystkie zasadnicze osiągnięcia zostały w nim uwzględnione.

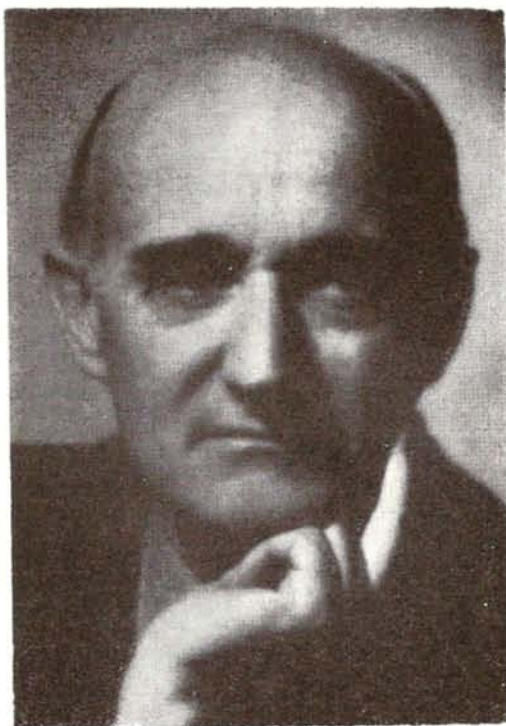
Tu chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pełną dziedzinę naszej działalności górskiej, w której udało nam się dokonać poważnego kroku naprzód. Mam na myśli wielodniowe przejścia graniowe dokonywane przez liczniejsze zespoły. I tak w dniach od 26 II do 4 III miało miejsce trawersowanie głównej grani Tatr Wysokich i to przez dwa kolektywy jednocześnie: jeden z nich posuwał się od zachodu (od Liptowskich Murów), drugi od Przełęczy pod Kopą. Obie grupy spotkały się w Dolinie Batorywieckiej i wspólnie weszły na Gierlach. Cała impreza przebiegała przy pięknej ale niezwykle mroźnej pogodzie — nocami rć opadała do 28—30°C poniżej zera! Jako trening przed ew. wyprawą zagraniczną miało to przedsięwzięcie bardzo duże znaczenie, pozwoliło bowiem poczynić szereg obserwacji odnośnie przydatności sprzętu, zestawów żywnościowych, sposobów transportu, a także wzajemnego zgrania się zespołów ludzkich.

Drugą wielką akcją tego rodzaju był II ogólnokrajowy zlot wspinaczy w Wysokich Tatrach, połączony z etapowym sztafetowym przejściem grani. I tym razem postępowały dwie ekipy, jedna ze wschodu, druga z zachodu, niosąc sztafetę z pozdrowieniami od radzieckich i niemieckich wysokogórców. W imprezie wzięło udział przeszło 500 uczestników, z tego w grupach szturmowych — 140. Wśród drużyn nie brakło też delegacji ze Związku Radzieckiego i Niemieckiej Republiki Demokratycznej. To pierwsze kolektywne sztafetowe przejście grani Tatr Wysokich pod względem masowości i zasięgu nie ma równego w dziejach naszego sportu wysokogórskiego, a jego sprawne zorganizowanie było trudnym egzaminem dla wszystkich naszych działaczy.

Pavel Plašil (Bratislava)

Wiktor Biegański

pionier polskiego filmu górskiego



W roku 1913, dokładnie 50 lat temu, młody aktor Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie, Wiktor Biegański, zrealizował krótkometrażowy film dokumentalny o Tatrach. Był to początek filmowej kariery jednego z niewielu ambitnych twórców dwudziestolecia międzywojennego, a jednocześnie i filmowej kariery Tatr *).

Ów tatrzański dokument, do którego zdjęcia wykonał operator wiedeńskiej wytwórni „Sascha”, Rajmund Czerny, nie różnił się prawdopodobnie niczym od tysięcy tzw. „obrazów z natury” i był po prostu zbiorem filmowych „pocztówek” z okolic Morskiego Oka i Doliny Mięguszwieckiej. Wyprawie, która odbywała się w niesprzyjających warunkach atmosferycznych, utrudniających i przewlekających pracę, towarzyszył jeden z legendarnych dziś już tatrzańskich przewodników-wspinaczy, Józef Suleja-Tylka, partner wielu wysokogórskich eskapad Biegańskiego, wielkiego entuzjasty gór, taternika i wytrawnego turysty.

* Biegańskiego uprzedziła nieco paryska firma „Bracia Pathé”, która dokonała serii „zdjęć kinematograficznych” już w r. 1912. Nakręcono m. in. inscenizowane sceny z „wspinaczki” na Orlej Perci, przy czym jednym z aktorów był Mariusz Zaruski. (Przypis J. Nyka).

Film o Tatrach był pierwszym przedsięwzięciem założonej w Krakowie spółki filmowej. Przedsięwzięciem niestety nie udanym. W prymitywnym laboratorium „wytwórni” niefachowi laboranci zniszczyli jeden z pierwszych dokumentalnych filmów o Tatrach — jeszcze zanim ujrzał światło projektorów.

Przerwany wojną kontakt z filmem odnowił Biegański w r. 1918 w Berlinie, a po powrocie do kraju zorganizował w r. 1922 szkołę filmową pod nazwą „Kinostudia”, której kierownictwa podjęła się wybitna polska aktorka, Stanisława Wysocka. Szkoła rychło przekształciła się w zespół produkcyjny, skupiający grono ludzi całkowicie oddanych filmowi, pozbawionych teatralnej rutyny aktorów i geszefciar-skich ciągów organizatorów.

Pierwsze lata po wojnie były okresem sporów i dyskusji o oblicze polskiego filmu. Krytycy, literaci, działacze podawali kilka recept na taki narodowy produkt sztuki kinematograficznej: adaptacje literatury polskiej, patriotyczne obrazy z walecznej przeszłości Polski, wtapianie akcji w piękny krajobraz ojczysty. Zwolennikiem tej trzeciej dewizy był Biegański, pierwszy w kraju i przez długie lata jedyny twórca, który nie licząc się z trudami i kosztami wychodził z kamerą „w plener”,

przede wszystkim w bliskie sobie i efektowne zdjęciowo góry. Nic przeto dziwnego, że drugi obraz wyprodukowany przez niego w zespole „Kinostudia” — film pod tytułem „Otcłani pokuty” — został niemal w całości nakręcony w okolicach Morskiego Oka, w lipcu 1922 roku. Jego bohater, zdradzony przez ukochaną kobietę, stał się „dzikim człowiekiem gór”. Gdy po wielu latach dowiedział się pewnego razu, że córka owej kobiety bawi na wycieczce w Tatrach — aby pomścić swą krzywdę, porwał ją i żywcem zamurował w jaskini, nieświadom, że jest to jego własne dziecko.

Film wywołał liczne spory, przy czym dotyczyły one nie tyle dość naiwnej intrygi, ile głównie sposobu, w jaki pokazano na ekranie góry. „Cudowne tło urwisk, kotlin, wodospadów Mickiewicz, skalnych ścian Drugiego Mnicha, a zwłaszcza niezapomnianego Morskiego Oka, nadaje obrazowi nieprzeparty urok” — pisał recenzent „Kinemy” w r. 1923. Natomiast najsurowszy z krytyków, Karol Irzykowski, który zresztą na innym miejscu chwali filmy Biegańskiego, był zgoła innego zdania: „W *Otcłani Pokuty* — pisał — pokazuje się także piękne widoki z Tatr, ale jest to przyręczka bez żadnego artystycznego znaczenia.” Trudno się nie zgodzić z opinią Irzykowskiego w odniesieniu do pierwszej sekwencji filmu, którą stanowi wędrówka trójga młodych bo-

haterów od Wodogrzmotów do Morskiego Oka, wykorzystana wyłącznie dla pokazania krajo-
brazowych uroków Tatr. W miarę jednak rozwoju wydarzeń, góry stają się w coraz większym stopniu elementem dramatu, nierozeral-
walnie związanym z przebiegiem akcji i losami bohaterów.

Najefektowniejszą sceną filmu był kilkudziesięciometrowy zjazd na linie bohaterów ponurego dramatu, zademonstrowany przez młodszą Halinę Maciejowską i samego Viktora Biegańskiego, odtwarzającego jedną z głównych ról. Dla ukazania sceny zjazdu wykorzystano zawsze jednakowo fotogeniczny uskok Zadniego Mnicha, zwanego wówczas „Mnichem Drugim”. Scena ta, filmowana w jednym ujęciu (przy czym kamera umieszczona była w pewnej, dość znacznej odległości, aby obiektyw mógł objąć całe urwisko) wzbudzała wiele zachwytów, m. in. w Stanach Zjednoczonych, gdzie film został zakupiony przez środowisko polonijne. Trzeba przyznać, że wybierając Zadniego Mnicha, wykazał Biegański nie tylko świetną znajomość topografii Tatr ale i realiów ówczesnego sportu wspinaczkowego, w którym zjazd z uskołu uchodził za jedną z najbardziej pokazowych ewolucji.

Nawiasem mówiąc, w czasie realizacji zdjęć do „Otcłani pokuty” ukazała się w prasie codziennej notatka o wypadku, jaki miał się wydarzyć aktorowi w czasie kręcenia owej karkołomnej sceny zjazdu. Niektóre gazety donosiły nawet o jego tragicznej śmierci. Istotnie, w dniu tym zostało zaalarmowane Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe, a fakt ten figuruje do dziś w kronikach jego działalności jako pierwsza w dziejach tej organizacji próba fałszywego alarmu, w dodatku wszczętego z całą premedytacją. Trudno obecnie — po 40 latach — dociec prawdy, czy żądanie pomocy spowodowane było nagłym załamaniem pogody, które rzeczywiście miało miejsce w tym dniu i mogło wywołać panikę wśród złożonego głównie z „ceprów” zespołu, czy też podyktowane zostało wyłącznie chęcią zrobienia sensacji, a tym samym i dobrej reklamy dla filmu. Obie strony są w tej drażliwej kwestii całkiem odmiennego zdania.

Bezpośrednio po zakończeniu zdjęć w rejonie Morskiego Oka ekipa realizatorska Biegańskiego przeniosła się na Halę Gąsienicową, gdzie miały być robione zdjęcia do następnego filmu „Kinostudii”, zatytułowanego „Bożyszcze”. Autorem scenariusza nie był tym razem Biegański, lecz popularny w owym czasie pisarz, Gamaston. Fabuła o charakterze psychologicznym z dużą domieszką sentymentalnych obrazków nie leżała w sferze zainteresowań Biegańskiego, który wolał raczej intrygę o wyraznej i żywej akcji. Do wzięcia na warsztat

Zadni Mnich.

Fot. Ryszard Szafirski



„Bożyszczka” skłonił go fakt, że część zdarzeń umiejscowiona została wysoko w Tatrach

Ekipa zamieszkała w będącym wówczas w budowie, bezdachym „Murowancu”. Zdjęcia kręcono nad Czarnym Stawem Gąsienicowym, na Karbie i na wierzchołku kościelca, którego osiągnięcie dla większości zespołu aktorskiego i realizatorskiego było nie lada wyczynem. Podczas pracy zdarzył się kłopotliwy i trochę zabawny incydent. Aktor grający rolę podłego uwodziciela — „bożyszczka” — odmówił zdecydowanie weścia na Karb, powodując tym kilkudniową przerwę w zdjęciach, które rozpoczęto dopiero z chwilą przybycia jego zastępcy.

Biegański wyruszył ponownie w Tatry dopiero za lat 5. Był już wówczas sam producentem i kręcił film pt. „Orleń” (1927), według własnego scenariusza. Po udanym opracowaniu wątku sensacyjnego w „Wampirach Warszawy” (1925), które utrwaliło jego pozycję jako najlepszego polskiego reżysera tego okresu, wprowadził do „Orleńca” nowy frapujący element fabularny — okultyzm. Oto tajemniczy hipnotyzer, dr Stonor, postanawia wykorzystać pewną błądzącą po dachach Warszawy lunaticzkę, do wykrycia legendarnych skarbów Janosika w Tatrach. Oboje udają się w góry, gdy tymczasem brat i narzeczony dziewczyny, jeden lotnik a drugi konstruktor lotniczy, dowiedziawszy się w porę o całej historii, „dosiadają” samolotu i szybując ponad Tatrami, odnajdują wreszcie osobliwą pa-

rę turystów. Rolę brata powierzył Biegański kapitanowi Orlińskiemu, bohaterowi słynnego lotu Warszawa—Tokio—Warszawa. Efektowna scena lotu nad Tatrami kręcona była przy udziale trzech samolotów typu „Breguet 19”. W jednym samolocie znajdowali się obaj aktorzy, reżyser i pierwszy operator, w drugim — drugi operator, wreszcie z trzeciego samolotu dokonywano zdjęć (fotostów) całej operacji. W czasie dwóch i pół godzin lotu (samoloty startowały i lądowały w Krakowie) okrążono dwa razy całe Tatry, a następnie dwa razy Giewont, u którego stóp błąkał się dr Stonor z nieszczęsną lunaticzką.

I ten film Biegańskiego zawierał pewne elementy wspinaczki skalnej a także swoiście pojętej i przeważnie atelierowej „speleologii”, jednakże jego fabuła — podobnie zresztą jak i poprzednich obrazów — nie miała nic wspólnego z taternicką czy choćby turystyczną przygodą w górach. Zębate szczyty Tatr Wysokich pełniły rolę bogatej i trochę dziwnej scenarii dla sensacyjnych perypetii bohaterów, których mrozące krew w żyłach przeżycia na krawędziach urwisk i w czeluściach tajemniczych jaskiń miały przyprawiać o dreszcz grozy niezbyt wybrednego widza. Temat „wspinanie” miał wejść na polski ekran dopiero w późniejszych filmach, od których do „Wariantu R” i „Zamarłej Turni” droga i tak była jeszcze bardzo daleka.

Alicja Mucha

Polskie ślady w Afryce

Dla Polaka, w dodatku typowego „zimowca”, rzuconego na kilka lat w piekielny gorąc Rabatu i Casablanki, wycieczka w Wysoki Atlas jest jedyną sposobnością do zacerpnięcia ludzkiego powietrza i przypomnienia sobie, jak naprawdę wygląda śnieg. Jednakże jeszcze więcej radości niż obcowanie z zimną skałą i śniegiem daje możliwość odkrywania i tutaj, we wnętrzu Czarnego Łądu, śladów polskiej działalności eksploracyjnej i alpinistycznej.

Mam przed sobą przewodnik wysokogórski „Le massif du Toubkal” opracowany przez Francuzów: J. Drescha i J. de Lépiney. Wymienia on aż 9 nazwisk znanych polskich alpinistów oraz tyleż samo nowych dróg zrobionych przez Polaków, przeważnie długich, trudnych i z reguły kapitalnie rozwiązanych. Dwie z nich wyprowadzają na Tubkal (4165 m), najwyższy szczyt całego Atlasu. Najczęściej, bo aż 5 razy, powtarza się nazwisko S. Groń-

skiego, po 4 razy występują nazwiska Z. Korosadowicza i J. Golcza. W części wstępnej autorzy podkreślają wybitne znaczenie odkrywcze polskiej wyprawy z r. 1934. Przy jednej z zestawionych w przewodniku dróg naktknąłem się na niewątpliwie polskie nazwisko — P. Zahorskiego — nie znane mi dotąd z historii taternictwa i rodzimego alpinizmu. Jego właściciel dokonał w r. 1941 wraz z dwoma francuskimi towarzyszami wejścia pn.-wschodnią ścianą na wybitny szczyt Angour (3614 m).

Przy kilku polskich nazwiskach widnieją dopiski „brak szczegółów przejścia”. Nie byłoby chyba od rzeczy, gdyby uczestnicy przedwojennej wyprawy w Atlas postarali się je odtworzyć z posiadanych materiałów i przekazać tutejszym zrzeszeniom alpinistycznym — bardzo by im się przydały.

Zygmunt Grabowski (Rabat)



Schronisko CAI „Auronzo“

Fot. Józef Nyka

SCHWEIZER ALPEN-CLUB
CLUB ALPINO ITALIANO

Klub Wysokogórski i redakcja „Taternika” składają obu tym zasłużonym organizacjom serdeczne gratulacje z okazji 100-lecia istnienia, życząc im dalszej owocnej pracy nad rozwojem alpinizmu, najpiękniejszego ze sportów i jednego z najbogatszych w wartości ogólnoludzkie.

*

Il „Klub Wysokogórski” e la redazione della rivista „Taternik” si congratulano cordialmente con queste benemerite organizzazioni in occasione del centenario della loro fondazione e approfittano di questa circostanza per augurare loro una continuazione della loro fruttuosa attività per lo sviluppo dell'alpinismo, lo sport più bello e ricco di valori umani.

Okap

Od dłuższego czasu nie mogę ściągnąć ani centymetra liny. Czuję tylko jakieś szamotanie, jakby spora ryba uwiesiła się na jej końcu. Wreszcie: „popuść czarną!”. Wykonuję posłusznie rozkaz, ale lina chyba gdzieś się zacięła. „Popuść czarną! Trzymaj niebieską! Trzymaj niebieską! No trzymajże do cholery!” Chwila spokoju z linami, głośnie sapanie gdzieś z dołu, jakby spod ziemi i nagle na odmianę: „ściągaj czarną, popuść niebieską! blokuj czarną!”. Staram się wszystko robić dokładnie, ale po półgodzinnym bezowocnym zmaganiu się z linami, przy akompaniamencie sapania i jęków mojego partnera, nie wytrzymuję i wołam w dół: „Rysiek! Rysiek! Co jest z tobą do stu diabłów? Rodzisz czy co?” Jak uciał wszvstko się niżej uspokaja i nagle dobiega w bardzo wysokim tonie: „A co, gówno cię to obchodzi!” I po chwili jeszcze bardziej nerwowe: „O rany, o Chryste! Ale mnie urządził. Mateczko kochana, dał popalić! Ze wszystkich karabinków się powypinał...”. Jestem na tyle zmęczony, że nie reaguję na te zaczepki i za-

padam w drętą drzemkę. Wrywa mnie z tego stanu cała symfonia jęków i przekleństw. Przez ten czas tylko liny zmieniły kolory, bo na odmianę muszę ściągać to szarą, to białą. Nie mam pojęcia, skąd je Rysiek powymyślał. Widocznie z wysiłku, który ciągle wzrastał, sądząc po brudach i apelach do świętych. Raptem szamotanie wzmogło się, a spod okapu dobiegł ku mojej radości okrzyk: „Ściągaj obie, szybko ściągaj obie!” Teraz już wszystko idzie jak z płatka. Na krawędzi okapu ukazuje się najpierw spocona głowa, za chwilę i on gramoli się na płytę brzęcząc żelastwem, omotany pętłami, obwieszony ławeczkami, karabinkami, sznurkami — jak choinka. Z ulgą ładuje się w ławeczki na stanowisku i z 10 minut odpoczywa nic nie mówiąc. Tymczasem ja obwieszam się sprzętem. Po chwili już dynam w ławeczkach. Zapomniałem o całym zajściu. On chyba też. Sympatyczny chłop ten Rysiek.

Lucjan Saduś

(Fragment większej relacji z I zimowego przejścia lewego filara Kazalnicy).

Sto lat alpinizmu w Dolomitach

Nie ulega wątpliwości, że początków alpinizmu w sensie klasycznym należy szukać na wyżynach Mont Blanc i innych kolosów Alp lodowcowych. Błędem byłoby jednak mniemać, iż wspinaczki skalne w Dolomitach — „dolomityzm”, jak się obecnie często mówi — stanowiły tylko przydatek do alpinizmu w ogóle, coś w rodzaju treningu skałkowego przed „poważniejszymi” przedsięwzięciami na ścianach śnieżnych czterotysięczników. Nic podobnego! Dolomityzm był zawsze gałęzią traktowaną na równi z innymi, a w poszczególnych fazach rozwoju historycznego alpinizmu tutaj właśnie pojawiały się i znajdowały pierwsze zastosowanie różne śmiałe rozwiązania techniczne, które rewolucjonizowały metody zdobywania szczytów i urwisk skalnych, a często króć wiązały się z nazwiskami ludzi wybitnie dla ogólnościwiatowej eksploracji górskiej zasłużonych. Nie z masywu Mont Blanc i nie z Berner Oberlandu, lecz właśnie z Dolomitów wyszła generacja wspinaczy, którzy swymi rekordowymi osiągnięciami na Filarze Walkera i na północnej ścianie Eigeru zamknęli epokę wielkiego podboju Alp.

Okres pionierski

Pierwsze karty historii zdobycia Dolomitów zapisał — podobnie zresztą jak i w naszych Tatrach — myśliwi polujący na kozice i inną górską zwierzynę. Warto zwrócić uwagę na fakt, że polowanie uprawiali z pobudek nie tylko praktycznych, lecz także dla rozrywki, dla sportu, który od mieszkańców dolin wymagał przeciwstawiania się jednocześnie dwóm żywiołom: zwierzęciu i górze. Mierzyli się oni z nimi z ochotą — i to głównie z wewnętrznej potrzeby znalezienia potwierdzenia własnej osobowości, swojego „ja”.

Znamy z tego okresu (pierwsza połowa w. XIX) wejścia na Monte Pelmo (3168 m) i na Antelao (3263 m), dokonane przez „koziarzy” z Zoldano i Cadore. Wyprzedzili oni zdobycie tych szczytów przez cudzoziemskich alpinistów: Anglika, J. Balla (Monte Pelmo w r. 1857) i Austriaka, P. Grohmana (Antelao pomiędzy rokiem 1850 a 1862). Nawiasem mówiąc, John Ball wspiął się również w Tatrach, uchodził nawet za pierwszego zdobywcę Lodowego Szczytu (1843).

Zanim jednak poddały się ludziom Monte Pelmo i wyniosły Antelao, miała w Dolomitach miejsce wyprawa w duchu już czysto alpinistycznym. Oto dnia 2 sierpnia 1802 roku wyruszyła ekspedycja na zdobycie najwyższego szczytu Dolomitów, Marmolaty (3342 m), rekrutująca się wyłącznie z „wyższych sfer”. Wchodzili w jej skład don Giuseppe Terza, don Tommaso Pezzeri, don Giovanni Mattia Costaddei oraz lekarz Hauser i sędzia Peristi. Wierzchołek zdobyto, jednakże w czasie zejścia Marmolata pochłonęła swoją pierwszą ofiarę: w szczelinie lodowcowej zginął Terza.

W drugiej połowie w. XIX Dolomity stały się nagle modne. Zaczął się napływ zagranicznych turystów i wspinaczy, a biedni miejscowi górale zyskali nowe źródło dochodów: prowadzenie w góry. Pierwszym znanym przewodnikiem w Dolomitach był Francesco Lacedelli z Cortiny, który w momencie zdobycia wraz z P. Grohmannem wierzchołków Tofana di Mezzo (3243 m) i Tofana di Rozes (3225 m) w r. 1863 liczył sobie nie mniej i nie więcej, tylko lat... 67. W ostatnim ćwierćwieczu minionego stulecia rozpoczął działalność alpinista Cesare Tomè, człowiek, który położył nieocenione zasługi dla rozwoju alpinizmu — nie tylko zresztą od strony wysokich walorów sportowych, ale także od strony organizacji. Z jego nazwiskiem związane są wejścia na szczyty Agner (1875), Croda Grande (1877), Schiara (1878). W towarzystwie przewodników Tomè prowadził systematyczną eksplorację mało zbadanych grup Moiazze i Tamer, by wreszcie w r. 1906 — licząc lat 62(!) — przebyć jako pierwszy „ścianę ścian”, 1200-metrowy północno-zachodni mur Civetty (3218 m), drogą prowadzącą prawą częścią słynnego urwiska.

Okres klasyczny

Na przełomie XIX i XX wieku w alpinizmie dolomitowym dokonał się zasadniczy zwrot. Wyczerpały się wreszcie niezdojbyte szczyty, zaczęto więc wyszukiwać trudności. Zaatakowano po kolei różne ściany, pozdobywano wierzchołki słynnych dolomitowych „dzwonnic” i „wież”. Pierwsze kroki postawił — w późniejszych latach słabo kontynuowany — dolomityzm zimowy. Jego pionierem stał się T.

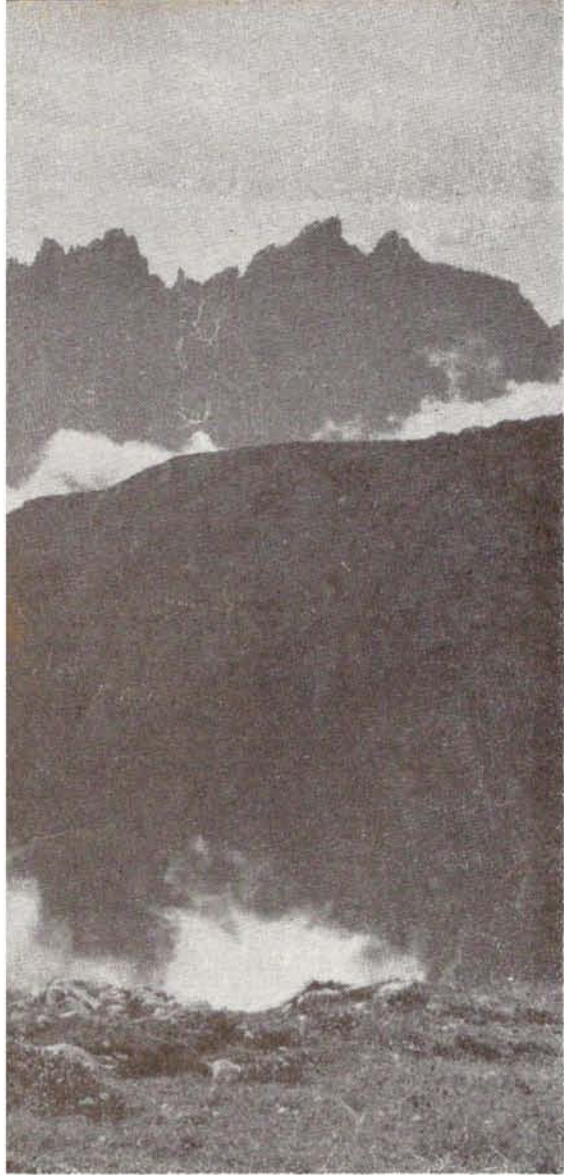


Wundt (1892—93), ten sam, który u nas wcześniej jeszcze zapoczątkował systematyczne taternictwo zimowe (wejścia m. in. na Rysy, Krywań, Lodowy, Łomnicę).

Alpiniści oderwali się od towarzystwa przewodników, pojawiły się nazwiska słynne w całych Alpach: Zsigmondy, Preuss, Dülfer, Dibona, Winkler. Ten ostatni wstawił się samotnym wejściem na jedną ze smukłych turni Vajolet, która odtąd nosi jego imię. W r. 1899 została zdobyta przez Austriaków niedostępna Campanile Basso di Brenta, w 1902 dwaj Niem-

cy weszli na wierzchołek Campanile di Val Montania. Włosi Cozzi i Zanutti w latach 1909 i 1910 pokonali dwa imponujące pylony strzegące dostępu do doliny Val dei Cantoni (grupa Civetty) — Torre Venezia i Torre Trieste.

Jednym z najwybitniejszych alpinistów tego okresu był Tita Piaż. Uważany za najlepszego wspinacza włoskiego, Piaż pokonał samotnie pn.-wschodnią ścianę Punta Emma na Catinaccio (r. 1900) a jedenaście lat później, z dwoma towarzyszami, wspaniałą powietrzną filar Torre Delago (najwyższa z turni Vajolet). W tym



Polskie namioty na Piano di Lavaredo w Dolomitach (1962).

Fot. Józef Nyka

Poprowadzone przez niego drogi, a w szczególności wspaniała i do dziś nie zdeprecjonowana „direttissima” północno-zachodniej ściany Civetty (1925) rozpoczęły epokę „sesto grado” — szóstego stopnia.

Okres „sesto grado”

W latach dwudziestych bieżącego stulecia wyraźną przewagę zyskali w Dolomitach alpinści mówiący językiem niemieckim. Po kapitalnych sukcesach Solledera nastąpiły inne, nie mniej wybitne, jak *direttissima* południowej ściany Tofana di Rozes (Stoesser, Hall, Schütt), czy wschodnia ściana Catinaccio (Hans Steger z towarzyszami).

W r. 1928 Antonio Berti oddał na użytek alpinistów swój przewodnik „Guida delle Dolomiti Orientali” — arcydzieło techniki, poezji i miłości do gór. Zawierał on już wiele dróg nowoczesnych, stanowił także pierwszą próbę uporządkowania i wprowadzenia jednolitej klasyfikacji trudności dolomitowych. Alpinści włoscy z wolna odzyskiwali utracony na rzecz Niemców prymat. W sierpniu 1929 r. R. Videsott, L. Rittler i D. Rudatis poprowadzili pierwszą włoską *direttissima* VI stopnia na południowo-zachodnim filarze Cima della Busazza (grupa Civetty), a 7 września tego roku Micheluzzi, Perattoner i Cristomannos pokonali południowy filar Marmolaty. To ostatnie przedsięwzięcie było wydarzeniem historycznej wagi, chociaż początkowo zupełnie nie docenianym. Dopiero późniejsze powtórzenia dowiodły, że jest to jedna z najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych dróg w Dolomitach, które to twierdzenie do dziś nie straciło wiele na aktualności. „Via Micheluzzi” na Marmolacie została zaliczona jako pierwsza do grupy dróg „sesto grado superiore” (skrajnie trudno — górna granica).

też okresie pojawił się w Dolomitach młody alpinista wenecki, Antonio Berti. Zastugi Berti’ego jako alpinisty i piewcy piękna gór są naprawdę nieporównywalne. W wieku lat 32 miał za sobą ponad 40 pierwszych wejść, wydał też pierwsze przewodniki wspinaczkowe po Dolomitach — „Guida delle Dolomiti di Cadore” (1908) i „Guida delle Dolomiti di Val Talagona” (1910).

Trudności skalne pokonywane w okresie klasycznym sięgały V stopnia. Granicę tę przekroczył dopiero Emil Solleder w latach 1925-26.

Nastąpiła teraz seria wspaniałych osiągnięć włoskich, jak np. nowa droga na północno-zachodniej ścianie Civetty (Comici i Benedetti, 1931) czy południowa ściana Torre Venezia (Tissi, Andrich i Bortoli, 1933). Największe jednak wrażenie zrobiło w świecie alpinistycznym zdobycie przewieszanej północnej ściany Cima Grande di Lavaredo. Po wielu próbach szczęśliwie zaatakowali ją 14 sierpnia 1933 r. włoscy wspinacze E. Comici oraz bracia A. i G. Dimai, a ich droga jest dziś najpopularniejszą z wielkich „szóstek” dolomickich. Wynaleziona w Dolomitach i tam doprowadzona do perfekcji technika podciągowa świeciła dalsze triumfy. Padła dziewicza południowa ściana

Torre Trieste — „torre dei torri”, jak ją nazywali wspinacze włoscy. Przejścia tego dokonali R. Carlesso i B. Sandri w sierpniu 1934 r. O jego trudnościach daje pojęcie fakt, że na powtórzenie trzeba było czekać aż do roku 1951 (!).

W latach trzydziestych rozpoczęli swoją karierę jeden z największych fenomenów alpinizmu światowego — Riccardo Cassin. W r. 1935 przejściem odstraszałcej północnej ściany Cima Ovest di Lavaredo — ze słynnym trawersem, po którym nie ma odwrotu — zainicjował on swoją wspaniałą trylogię, wraz z Piz Badile i Filarem Walkera, który ostatecznie rozstał się jego imię w całych Alpach.

Lata poprzedzające II wojnę światową przyniosły jeszcze rozwiązanie kilku problemów najwyższej klasy, wśród nich południowej ściany Marmolaty (Soldà i Conforto, 1936) oraz sąsiednich, w tym samym kierunku zwróconych urwisk Punta Rocca (Vinatzer i Castiglioni, 1936). Wojna przerwała niemal zupełnie działalność alpinistyczną w Dolomitach. Zanoowano w tym czasie tylko jedno osiągnięcie: 14 lipca 1944 r. wspinacze z Cortiny — E. Constantini i R. Apollonio — pokonali południowo-wschodnią ścianę tzw. „Wielkiego Filara” na Tofana di Rozes.

Dolomity dzisiaj

Data powojenne obfitują w taką ilość ekstremalnych zdobyczy, że na wymienienie wszystkich nie starczyłoby kilku stron. W Dolomitach działają już nie tylko Włosi, Austriacy i Niemcy, ale także Francuzi, Szwajcarzy, Belgowie, Hiszpanie oraz przedstawiciele wielu innych narodowości. Są wśród nich alpinści najwyższej klasy, jak Francuz G. Livanos, autor kilku nowych dróg i szeregu cennych powtórzeń, jak Belgowie Jean Alzetta i Claude Barbier. Ten ostatni zyskał szeroki rozgłos swymi samotnymi przejściami. Między innymi pokonał samotnie w ciągu jednego dnia (!!) pięć północnych ścian w grupie Tre Cime di Lavaredo: Cima Piccolissima, Punta di Frida, Cima Piccola, Cima Grande (drogą Comiciego) i Cima Ovest (drogą Cassina).

Szereg ładnych sukcesów osiągnęli wspinacze niemieccy. W r. 1958 poprowadzili śmiało „dirttissimę” północną ścianą Cima Grande di Lavaredo i zdobyli dziewiczą „Parete Rossa” południowo-zachodnią ścianą Roda di Vael (grupa Catinaccio). Wszystko jednak przyćmił rok 1959. Przejścia wówczas dokonane stanowią aktualne dotąd rekordy alpinizmu dolomickiego. Równoległe dwiema drogami zbliżonymi do ideału pokonano środek północnej ściany Cima Ovest di Lavaredo. Z dirttissima

francuską związane są nazwiska R. Desmaisona, P. Mazeauda, P. Kohlmana i B. Lagesse, z dirttissima szwajcarsko-włoską — H. Webera, A. Schelberta, C. Bellodisa i B. Franceschi'ego. Północno-zachodnim filarem tego samego szczytu poprowadzili powietrzną drogę „Scoiattoli” — wspinacze z Cortiny d'Ampezzo, A. Michielli, L. Lorenzi, G. Ghedina i I. Lacedelli.

O wiele mniej rozgłosu od osiągnięć na Cima Ovest zdobyło przejście dwóch alpinistów włoskich — I. Piussiego i G. Redaelli'ego. Pokonali oni idealną dirttissima południową ścianę Torre Trieste, 750 metrów ściany, w tym 450 m zupełnie przewieszzone, brak możliwości wycofania się, jak i ew. pomocy z góry, 4 biwaki w ścianie, 450 wbitych haków, 80 nitów i 45 kołków — to swoisty rekord i nawet w skałi Dolomitów przedsięwzięcie naprawdę atletyczne. Nie powtórzona do dziś dirttissima Torre Trieste stanowi chyba najtrudniejszą i najbardziej ryzykowną drogę w całych Alpach.

W ostatnich latach powrócił znowu w Dolomitach problem zimowej eksploracji. Spośród szeregu pierwszorzędnych przejść trzeba wyróżnić dwa dokonane w tym roku: I i II przejście północno-zachodniej ściany Civetty słynną drogą Solledera W skład pierwszego zespołu wchodzili: Toni Hiebeler, Ignazio Piussi i Giorgio Redaelli. Mając za sobą 7 biwaków w ścianie osiągnęli oni wierzchołek dnia 7 marca. Drugi zespół — Roberto Sorgato, Natalino Menegus i Marcello Bonafede — wszedł w ścianę 4 dni później, mając jednak ułatwione zadanie skończył wspinaczkę po 3 biwakach, również dnia 7 marca*). Przejścia te, dokonane w atmosferze dalekiej od reklamiarstwa i profesjonalizmu — zapisały się na jednej z najpiękniejszych kart w historii alpinizmu — i to nie tylko pod względem stylu, ale także idei. Wielkość ściany, różnorodność i nagromadzenie trudności, wreszcie ciężkie warunki zimowe sprawiły, że obok I zimowego przejścia Filara Walkera na Grandes Jorasses, pokonanie ściany Civetty jest najcenniejszym prezentem zaoferowanym przez alpinistów włoskich Club Alpino Italiano w setną rocznicę jego powstania.

Janusz Kurczab

(Opracowanie na podstawie „Rivista Mensile CAI”, nr 3—4/1963).

*) Niektóre publikacje traktują oba te przejścia jako jedno dwuzespołowe. W najbliższym numerze „Taternika” zamieścimy interesującą relację z nich pióra T. Hibelera.

Polacy w Dolomitach

Dolomity zawsze leżały na uboczu głównego nurtu rozwojowego polskiego alpinizmu, nie na tyle jednak, by nie wniósł on i w ich poznanie swojego udziału. Jeżeli alpinistyczna eksploracja tej grupy górskiej liczy sobie lat około stu, na polski dolomityzm przypada z tego trochę więcej niż 70. Zapoczątkowali go pod koniec XIX wieku bracia Smoluchowscy (Marian i Tadeusz) — trzeba sprawiedliwie dodać: w całkowitym oderwaniu od Tatr i oczystego ruchu wysokogórskiego. Studiowali wówczas w Wiedniu i byli członkami austriackiego Alpen-Vereinu. W Dolomity przybyli z świeżo ukutym hasłem „wspinamy się bez przewodnika” i uprawiali działalność na najwyższym ówczesnym poziomie. Wchodzili na niezdojdyte dotąd szczyty a na znane już wyszukiwali nowe, trudniejsze szlaki. W swoim dorobku mają kilkanaście odkrywczych „wycieczek” (tak się wtedy mówiło), w tym tak znakomite, jak pierwsze wejścia na Sas del Lec (2959 m) i Zehner (2917 m) czy I trawersowanie słynnej w tamtych czasach grupy Cinque Dita (Fünffingerspitze). Oto mały fragment opisu tej wysoko notowanej eskapady:

„Po przejściu krótkiego tarasu stanęliśmy przed 80-metrowym kominem, który jak czarna krecha przecina żółtą ścianę, zamykając dalszą drogę. Szczególnie trzeci odcinek, między 50 a 60 metrem, którego obustronne gładkie ściany zacieśniają się do tego stopnia, że przy jego pokonywaniu trzeba zawisnąć całym ciałem pod silną przewieszką, wymagał wielkiego wysiłku mięśni i płuc, tym większego, że worki z 4 parami butów zaklinowały się kilkakrotnie. Ekspozycja jest tak wielka, że wspinacz widzi pomiędzy swymi nogami w zawrotnej głębi błękitny lodowiec. Po przejściu całego tego systemu kominów stajemy przy oknie grani, w miejscu, gdzie schodzi się droga północna z obu innymi drogami, a w niewiele minut później, przy kopczykach zdołanych szeroki i mało nachylony wierzchołek.”

Dorobek Smoluchowskich ma trwałe miejsce w historii zdobycia Dolomitów, zaś Polak

wspinający się dziś po tych górach, nie bez wzruszenia natyka się w przewodnikach na przekreśone nazwisko swoich słynnych rodaków. Nawet skrótowy przewodnik G. Langesa wymienia je dwa czy trzy razy!

W okresie poprzedzającym pierwszą wojnę światową Dolomity leżały jeszcze w granicach Austrii, nic więc dziwnego, że ówczesna Sekcja Turystyczna Tow. Tatrzańskiego chętnie wstawiała je do swoich wyjazdowych programów. W różnych latach bywali tu jej członkowie — J. Chmielowski, Z. Klemensiewicz, T. Ostrowski, R. Kordys, J. Maślanka i inni — niestety przeważnie ograniczając się do wejść „via comune” na najbardziej popularne szczyty. Nie brak było jednak i wcale ambitnych poczynań. Sam Chmielowski w r. 1907 w ciągu 14 dni zrobił — jak opowiada — 16 wejść i to niektóre bliskie ówczesnych rekordów (np. II wejście pn.-wschodnią ścianą najwyższej turni w grupie Torre di Vajolet czy IV przejście słynnej pn.-wschodniej ściany Punta Emma). Napisał wówczas w „Taterniku” słowa, które warto przypomnieć choćby z uwagi na ich wyjątkową aktualność:

„Na wszystkich spośród tych najtrudniejszych wycieczek w Dolomitach (...) są trudności techniczne olbrzymie, inne niż w Tairach, niewątpliwie od nich większe, rozłożone na bardzo znacznej przestrzeni (...). Wynika z tego, że najtrudniejsze wyprawy tatrzańskie nie dorównują trudnością najtrudniejszym wyprawom w Dolomitach. (...) W każdym razie jednak są Tatry przewyborną szkołą alpinizmu.”

Największy wyjazd w Dolomity urządził w r. 1908 tzw. „Himalaya-Club”. Dokonano szeregu ładnych przejść, na których czoło wysuwa się sławetny „komin Schmitta”, w najtrudniejszych miejscach przeprowadzony zrećnie przez zmarłego niedawno prof. Z. Klemensiewicza.

W latach międzywojennych polski ruch wysokogórski nastawiał się na działalność w górach najwyższych, a wyjazdy w Alpy czy Kaukaz traktował głównie jako trening przed wiel-



kimi wyprawami w Egzotyki. To też Dolomity nie zostały oficjalnie zauważone — z niewątpliwą szkodą dla rozwoju taternictwa, które w sensie technicznym tutaj mogło najwięcej skorzystać. Nie wykluczone, że po kilku wyjazdach dałoby się i tu osiągnąć dobre wyniki sportowe, gdyż klubowi nie brak było przecież utalentowanych wspinaczy. W r. 1938 przybyli w Dolomity prywatnie M. Babiński i T. Pawłowski, ich pobyt miał jednak charakter rekonesansu i ograniczył się do klasycznych wejść na szczyty.

Sportowy kontakt z Dolomitami został nawiązany ponownie w roku ubiegłym (1962). Klub Wysokogórski wysłał w nie wówczas 6-osobową grupę wspinaczy w składzie: Andrzej Heinrich, Józef Nyka (kierownik), Maciej Popko, Lucjan Saduś, Adam Szurek i Ryszard Zawadzki. Z powodu komplikacji wizowych wyjazd opóźnił się o 3 tygodnie, tak że dopiero 25 sierpnia — w końcu sezonu — grupa znalazła się w Cortinie d'Ampezzo. Wbrew obawom sceptyków, już ten pierwszy wyjazd przyniósł wyniki, jakie jeszcze kilka lat temu leżałyby na granicy dolomickich rekordów. W 2 grupach górskich (Marmolata i Tre Cime) przebyto łącznie 8 poważnych dróg, w tym 5 skrajnie trudnych, rozmiarami największych w obu rejonach. Mianowicie:

- 27 VIII — Cima d'Ombretta zach. ścianą (III): J. Nyka i A. Szurek.
 — Marmolata pd. ścianą drogą klasyczną (IV): M. Popko i R. Zawadzki, A. Heinrich i L. Saduś (drugi zespół z biwakiem).
 29—30 VIII — Marmolata pd. ścianą drogą Soldy (VI sup.): M. Popko i R. Zawadzki, J. Nyka i A. Szurek.
 30—31 VIII — Marmolata pd. filarem drogą Micheluzziego (VI sup.): A. Heinrich i L. Saduś.

†

Po lewej: Adam Szurek na wielkim trawersie w północnej ścianie Cima Ovest (ok. 200 m ponad piargami).

Fot. Józef Nyka

- 9 IX — Cima Grande pn. ścianą drogą Comiego (VI): M. Popko i R. Zawadzki,
 — Cima Piccola przez Spigolo Giallo (VI): A. Heinrich i L. Saduś.
 11 X — Cima Grande pn. ścianą drogą Comiego (VI): A. Heinrich i L. Saduś.
 12—13 IX — Cima Ovest pn. ścianą drogą Cassina (VI sup.): J. Nyka i A. Szurek.
 13 IX — Cima Ovest pn.-wsch. filarem (V): A. Heinrich i R. Zawadzki, M. Popko i L. Saduś.

Na czoło tych przejść wysuwają się trzy: południowa ściana i południowy filar Marmolaty oraz północna ściana Cima Ovest di Lavaredo. Wszystkie klasyfikowane są jako „VI^o superiore” (skrajnie trudno, górna granica), przy czym dwie ostatnie mają opinie wielce ryzykownych. O akrobatycznej drodze Cassina na Cima Ovest z najwyższym uznaniem wypowiadali się Kasperek i Buhl, filarowi Marmolaty wysoką notę wystawił niedawno temu sam Claude Barbier („na tej starej drodze wymęczyłem się bardzo, chociaż warunki były wyjątkowo dobre”). Poszczególne zespoły radziły sobie z drogami doskonale, bez sensacji, odwrotów, odpadań itp. Czasy przejść były na ogół lepsze od przewodnikowych, a niekiedy nawet lepsze od przeciętnie uzyskiwanych. Na każdą dwójkę wypada po jednej „VI^o sup.”, zespół Nyka - Szurek ma w swoim dorobku nawet dwie. Wyniki grupy były nader pozytywnie komentowane wśród zadomowionych tam alpinistów włoskich, austrackich i niemieckich, których najbardziej zdumiewał fakt, że był to nasz pierwszy kontakt nie tylko z Dolomitami ale i skałą tego typu, wymagającą przecież zupełnie innej rutyny wspinaczkowej.

Dolomityzm polski — tak pięknie zapoczątkowany przez Smoluchowskich — dopiero odżywa i zapewne już najbliższe lata dopiszą do tego szkicu nowe, ciekawe kartki.

Józef Nyka

Na wschodniej ścianie Ganku

*I przejście zimowe drogi WHP 1370
(z Doliny Kaczej): Krzysztof Cielecki,
Jerzy Krajski i Andrzej Zawada.
6—7 kwietnia 1963.*

Wschodnią ścianę Ganku zaliczało się zawsze do grupy najpoważniejszych problemów zimowych Tatr. Na tę opinię składało się kilka przyczyn: oddalenie od schronisk, duże nagromadzenie trudności, wreszcie znaczne rozmiary, nadające wyprawie charakter alpejski, z koniecznością biwakowania. Sama ściana ma zaledwie 250 m wysokości, jednakże dojście do jej podstawy wymaga pokonania 500-metrowych pn.-wschodnich urwisk Ganku, w warunkach zimy nie tylko trudnych, ale i bardzo niebezpiecznych. Całą tę 750-metrową drogę można podzielić na trzy części: 1. Rynnę Birkenmajera — żleb długości około 100 metrów; 2. Żleb Stanisławskiego około 400 m długości oraz 3. właściwą wschodnią ścianę w kopule szczytowej Wielkiego Ganku. Już sam początek drogi — pokonanie Rynny Birkenmajera — nastroża wcale poważne trudności przy jednoczesnym zagrożeniu ze stron lawin. W rynie tej bowiem łączą się dwa potężne żleby — Stanisławskiego i Świerza, które „drenują” całą wschodnie urwiska Ganku, odprowadzając schodzące z nich śnieżno-lodowo-kamienne lawiny. W dodatku rynna w dolnych partiach tworzy przewieszony komin, zwężający się miejscami do szerokości 1,5 metra. Wszystko to razem sprawia, że na wejście w tę gardziel można się zdecydować jedynie przy dobrych warunkach śnieżnych, pewnej pogodzie, no i oczywiście z zachowaniem wszelkiej ostrożności.

Dwudniowa obserwacja żlebu wykazała, że nawet przy wyjątkowo twardym i związanym śniegu oraz bezwietrznej pogodzie, Rynną Birkenmajera bez przerwy przelatują drobne pyłki, bryły lodu wraz z kamieniami, a nie rzadko nawet małe lawinki. Nasilenie występuje głównie w godzinach przedpołudniowych i jest związane z operacją słoneczną w górnych partiach ściany. Przy ewentualnym ataku nasuwały się więc dwie alternatywy: albo przejść Rynnę Birkenmajera przed wschodem słońca, albo też w godzinach popołudniowych, kiedy ściana znajdzie się ponownie w cieniu.

Wybraliśmy pierwszą z nich i 5 kwietnia wyruszyliśmy dwoma zespołami: Krajski—Zawada i Cielecki — Zdzitowiecki. Warunki w

żlebie okazały się ciężkie. Rynna była całkowicie oblodzona a z góry spadały bez przerwy bryły lodu i kamienie, dając nam się dokiwnie we znaki. W dodatku przeliczyliśmy się trochę z czasem i słońce dogoniło nas już na pierwszych wyciągach, pokonywanych przy pomocy igieł lodowych i rąbania stopni w lodzie. W momencie, gdy druga dwójka kończyła pierwszy wyciąg i znalazła się w najwęższym miejscu żlebu, powyżej nadzwyczaj trudnej przewieszki, z góry ruszyła lawina śnieżna. Porwała ona Cieleckiego i Zdzitowieckiego i zniosła ich około 250 m, na szczęście jednak „rozmyła” się na długim i stromym usypisku u podnóża ściany, wyrzucając porwanych na powierzchnię. Cielecki wyszedł z wypadku niemal bez szwanku, natomiast Zdzitowiecki miał złamaną nogę i pokaleczoną twarz. Wycofaliśmy się więc spiesznie ze ściany, a cały dzień upłynął nam na transportowaniu rannego do obozu oraz pomaganiu ekipie czechosłowackiego pogotowia ratunkowego (HS TANAP).

Transport trwał do godziny 12 w nocy, mimo to postanowiliśmy wykorzystać utrzymującą się piękną pogodę i atak powtórzyć nazajutrz.

Tym razem — już w zespole trzyosobowym i ze zrozumiałymi oporami psychicznymi — zbraliśmy się znacznie wcześniej. Ponieważ w dodatku warunki były lepsze niż dnia poprzedniego, dość szybko znaleźliśmy się w Żlebie Stanisławskiego. Zaczęliśmy go forsować około godz. 8. Stosując początkowo asekurację z haków a następnie z czekana i trzymając się z boku od lawiniastych partii żlebu, doszliśmy do miejsca, gdzie jego koryto rozgałęzia się w dwa ramiona. Jedno z nich biegnie w stronę Gankowej Przełęczy, drugie zaś — do podnóża wschodniej ściany, mniej więcej w kierunku jej środka. Od miejsca rozwidlenia — jak się okazało później — należało pójść wprost w górę grzędą po jej prawej stronie. Tymczasem my, w obawie, że grzęda sprowadzi nas za bardzo w stronę Gankowej Przełęczy, weszliśmy w lewą odnogę Żlebu Stanisławskiego i dotarliśmy nią pod sam środek ściany. Tutaj prawie przez 4 godziny (od 12.30 do 16) szukaliśmy bez skutku jakiegoś „ludzkiego” wejścia w mur przewieszek, wysokich na 20 do 30 m



Złobisty Szczyt, Rumanowy, Ganek i Rysy. Na drugim planie Wysoka.

Fot. Andrzej Zawada

i ciągnących się wzdłuż całej ściany. Wróciliśmy wreszcie na wspomnianą grzędę i podszliśmy nią aż pod pionową, nadzwyczaj trudną ściankę, po której przejściu udało nam się osiągnąć wygodny zachód, biegnący wzdłuż całej ściany, między dolnym a górnym pasem przewieszek. Na zachodzie tym znajduje się naturalna wnęka skalna, stanowiąca doskonałe miejsce na biwak. Kiedy zaczęło się zmierzchać, około godz. 18.30, wróciliśmy do niej całe dwa wyciągi po poręczowce, uważając, że trud ten opłaci nam się bardziej, niż nocleg na wisząco — w ławeczkach. Zgodnie z przypuszczeniami, warunki biwakowe w kolebie były doskonałe.

Najedzeni, wyspani i rozgrzani rannymi promieniami słońca byliśmy w jak najlepszej formie i nie odczuwaliśmy dosłownie żadnego, zwykłego przy biwakach, zmęczenia. Około godz. 8 (7 kwietnia) opuściliśmy wygodne schronienie i w pięknej lodowo-skalnej wspinałce pokonaliśmy niezwykle eksponowane i nadzwyczaj trudne końcowe partie ściany (najtrudniejsze miejsce dwa wyciągi od szczytu). Wierzchołek Wielkiego Ganku osiągnęliśmy o godz. 13.30 i nie bez satysfakcji wpisaliśmy polskie nazwiska do czechosłowackiej książki szczytowej. W drogę powrotną ruszyliśmy najpierw granią na Gankową Przełęcz, a stamtąd trawersem przez południowe stoki Rumanowego Szczytu na Przełęcz pod Kozią Strażnicą. Przez zachodnie Żelazne Wrota i Snieżną Galerię zeszliśmy do Doliny Kaczej.

W obozie byliśmy — z gotowaniem i odpoczynkiem po drodze — o godz. 19.

Pogoda była przez cały czas słoneczna i bezwietrzna, temperatura w cieniu utrzymywała się w granicach -10°C . Śniegu zalegało bardzo dużo, był jednak stosunkowo mocno związany. Ocienione partie skał pokrywał na ogół lód, depresje zaś wypełniał nawiany świeży puch z ostatnich opadów.

Sprzęt, jaki zabraliśmy, okazał się wystarczający. Mieliśmy 2 liny 70 i 40 m długości, 3 pary ławeczek, 6 pętli (w tym 1 szelki Abatakowa), 3 pary raków, 3 czekany, 3 młotki, 18 karabinków, 20 haków, 3 igły lodowe, 3 małe plecaki (tzw. „horolezki”), 2 śpiwory, 1 kurtkę puchową, 1 prymus, 0,5 l benzyny oraz żywność na 2 dni. Każdy miał na sobie szelki, do których przypinaliśmy liny przy pomocy zakręcanych karabinków. Pozwalało to na szybko i sprawne manipulowanie w takich momentach, jak zmiana między środkowym a prowadzącym, lub zostawianie liny jako poręczówki i poruszanie się z autoasekuracją. Każdy z nas miał własną parę ławeczek. Trzeci wspinał się przeważnie cały czas z autoasekuracją. Jedynym bodaj mankamentem sprzętowym był brak kasków, które bardzo by się przydały w Rynnie Birkenmajera, poza tym zamiast kurtki lepiej było mieć trzeci śpiwór.

Jeśli chodzi o ogólną ocenę drogi w zimie, trzeba powiedzieć, że jest ona wspaniała, jednakże trudna i niebezpieczna. W razie zała-

mania pogody wycofanie się z niej wymaga dużego doświadczenia, znajomości terenu i bezwarunkowej sprawności technicznej. We właściwej wschodniej ścianie skała jest bardzo krucha. W wielu miejscach trzeba było usuwać luźno tkwiące bloki, co zdaje się wskazywać na to, że droga bywa rzadko uczęszczana nawet w lecie. Odliczając czas stracony na szukanie właściwego wejścia w górna część

ściany, przejście nasze trwało około 14 godzin. Wydaje się, że w średnich warunkach śnieżnych i przy zespole 3-osobowym (a taki na drodze tego typu trzeba uznać za minimalny) trudno będzie czas ten skrócić w sposób istotny. Tak więc przy następnych przejściach ściany planowanie biwaku jest raczej konieczne.

Andrzej Zawada

Nim Pawlikowski zdobył Mnicha

Główny szczyt Pienin właściwych — Trzy Korony — wieńczy piękna grupa palczasto rozwidlonych skał jurajskich, z których najwyższej nadali górale miano „Okrąglicy” (982 m). Wierzchołek tej turni dopiero około r. 1900 udostępniono publiczności przy pomocy wykutej w skałe galerijki i drabiny zakończonej glorieta widokową. Zanim jednak to nastąpiło, wejście na wierzchołek było wyczynem wspinaczkowym, godnym niemal porównania z tatrzańskim Mnichem przez płytę. Nic przeto dziwnego, że cherlawi „goście kąpielowi” ze Szczawnicy zadowalali się panoramą z polany Pieniny lub z wysuniętego spod Okrąglicy cypla skalnego zwanego „Gankiem”, skąd nawiasem mówiąc widać było dokładnie to samo, co z najwyższego czubka. Na ów czubek zaś wdrapywali się tylko najodważniejsi i pod gwarancją wołni od cierpienia zawrotów głowy. Żeszłowieczne źródła nie wskazują bynajmniej, by śmiałków takich było wielu. Wśród kilku zanotowanych jest tylko jeden taternik — Bronisław Gustawicz, kapitalny znawca Tatr i uczestnik kilku pierwszych przejść tatrzańskich. Na Okrąglicy stanął on w r. 1880. Najdawniejsze z utrwalonych w opisach wejść na tę skałę jest jednak starsze, gdyż pochodzi z roku 1832. Dokonał go w dniu 29 lipca głuchoniemy artysta lwowski, Ksawery Prek (1801-64) w towarzystwie znanego tylko z nazwiska „pana Wojnarowskiego”.

„Na szczycie góry, która przedziela Galicję od Węgier — notuje w swoich pamiętnikach — znajduje się skała 20 łokci może. Obejmując obiedwoma rękami sterczące kamienie, szukając, gdzie by postawić stopę, wdrapałem się z panem Wojnarowskim na wierzchołek. Gdy chciałem stanąć, zaczęła mi się głowa kręcić i byłem przymuszony położyć się. W tej pozycji spojrziałem na dół z prostopadłej tej skały. Wzrok na bystrzejszy nie zdołał objąć rozległości przedstawiającego się kraju. W pierwszym planie jest klasztor kamedułów pod urwiskiem, klasztor Czerwony. Patrząc na jego dach

i wieże zdał mi się być tuż pod górą, choć w istocie jest od niej oddalony, dalej dwa miasteczka, Dunajec natrętny wszędzie, kilkanaście wsi i ginące oko we mgle niebieskawej (...) Nasyciwszy się do woli tym wspaniałym widokiem, odpocząwszy trochę po pracowitym zdobyciu pieniny*, zacząłem wracać...”

Około roku 1830 Trzy Korony odwiedzano były nader często, ale tylko nieliczne z wizyt miały szczęście znaleźć dokumentację w opisach. Dlatego nie bez wahania przypinamy Prekowi laur zdobywcy Okrąglicy — i to z zastrzeżeniem warunku: jeśli nie uda się z czasem odszukać kogoś, kto go wyprzedza.

Wejście na Okrąglicę miało charakter wyczynu — jak byśmy dziś powiedzieli — skalnego i pod względem trudności raczej wyrastało ponad poziom tego, co w Tatrach Polskich aktualnie i równolegle robiono. Warto też zwrócić uwagę na wyraźny sportowy aspekt całej imprezy, przebijający zarówno z relacji, jak i z topografii wierzchołka Trzech Koron. Bo przecież nie dla rozszerzenia widoku wspinano się na niebezpieczną turnię i nie dla czystej turystycznej przygody. Cel był inny: popisać się junactwem, błysnąć brawurą, udowodnić, że jest się lepszym od pospolitych zwiedzaczy Pienin — odważniejszym, sprawniejszym, obdarzonym z natury „mocniejszą głową”. Te same motywy pchnęły kierys Pawlikowskiego na Mnicha, te same porwchają dzisiejszych skałodżów na szalone drogi Kazalnicy czy Cima Grande. Niewiele się w gruncie rzeczy zmieniło, a początków taternictwa sportowego trzeba chyba szukać przed rokiem 1880 i być może... poza Tatrami.

Józef Nyka

* „Pienina” nazywa autor Trzy Korony, w ludowej nomenklaturze tak rzeczywiście kiedyś zwane. Obecna forma nazwy upowszechniła się dopiero w drugiej połowie w. XIX.

Z życia Klubu Wysokogórskiego

Obóz zimowy w Dolinie Kaczej

Polskie obozy zimowe w Dolinie Kaczej mają stosunkowo dawne i ładne tradycje. I tegoroczny, sprawnie poprowadzony przez Jerzego Krajskiego, przyniósł — mimo raczej niekorzystnych warunków atmosferycznych — wcale wartościowe wyniki. Trwał on od 1 do 19 kwietnia, przy czym 4 dni odpady na transport bagaży tam i z powrotem. Poza kierownikiem, wzięło w nim udział 6 osób: Krzysztof Cielecki, Jerzy Klauznicer, Piotr Misiurewicz, Janusz Polkowski, Teresa Puchaczewska i Andrzej Zawada. Na tydzień dołączył też Krzysztof Zdzitowiecki, który złamał nogę w lawinie. Warto dodać, że dla Misiurewicza i Polkowskiego był to już trzeci z kolei zimowy obóz w Tatrach Słowackich, zaś dla Krajskiego — czwarty.

Obozowano pod namiotami rozbitymi w najlepiej usłonecznym miejscu — nad Małym Kaczym Stawem od strony Doliny Litworowej. Działalność ograniczyła się w zasadzie do jedynego pogodnego tygodnia między 3 a 9 kwietnia. W sumie uczestnicy obozu dokonali 7 wejść, w tym 3 pierwszych zimowych (wykaz w sprawozdaniu Komisji Sportowej). Niewątpliwie najlepszym z nich jest przejście lewą częścią wschodniej ściany Ganku, przeprowadzone w dodatku w bardzo ładnym stylu. Warto też wyróżnić pierwsze przejście zimowe prawego filara wschodniej ściany Kaczej Turni oraz II przejście depresji Sawickiego w północnej ścianie Zastonistej Turni — oba mimo złych warunków atmosferycznych (odwiał i wiatr) zrobione zostały w doskonałym czasie (5 i 3 godziny).

„Ogólnie rzecz biorąc — pisze J. Krajski — obóz spełnił swoje zadanie. Przede wszystkim ustalono, wbrew utrzymującym się opiniom, że Dolina Kacza nadaje się do biwakowania w zimie przez dłuższy okres czasu. Na prog-

noście na początku kwietnia operuje przez 6 godzin dziennie, co w zupełności wystarcza do przesuszenia przemoczonych na wspinacze rzeczy. Oddalenie doliny od schronisk i szlaków komunikacyjnych, a w związku z tym duża ilość problemów zimowych do rozwiązania, stanowią o atrakcyjności tego terenu. Niewątpliwą wadą jest konieczność transportu bagaży na dużą odległość, co zajmuje moc czasu, jeżeli oczywiście warunki śniegowe nie są doskonałe. W związku z tym pożądanym jest organizowanie obozów w tej dolinie na okres możliwie długi, przynajmniej 3 do 4 tygodni, przy czym żywność należy od razu zabierać na cały czas pobytu. Dla ułatwienia transportu, wszyscy uczestnicy obozu winni być wyposażeni w narty i foki.“

Majowe plenum ZG

W dniu 5 maja 1963 r. odbyło się w Warszawie plenarne zebranie Zarządu Głównego KW, któremu przewodniczył prezes, Leszek Łącki. Głównym tematem obrad była sytuacja finansowa Klubu — w tym roku przejściowo dosyć trudna. Ponieważ — jak wykazuje bilans — dużą część funduszy pochłania „Taternik“ oraz Szkoła Taternictwa na Hali Gąsienicowej, ważyły się dalsze losy obu tych w gruncie rzeczy potrzebnych instytucji. Jeśli w sprawie szkolenia centralnego opinie były podzielone, to w sprawie „Taternika“ wszyscy zebrani wypowiadali się za utrzymaniem wydawania pisma. Ponieważ do zdania tego dołączyło się osobiste poparcie Przewodniczącego GKFiT, W. Reczka oraz przychylny stosunek dyrektora wydawnictwa „Sport i Turystyka“, mgra A. Górnego, który pomógł zredukować koszty pisma niemal do połowy, był naszego klubowego organu można uważać za zapewniony.

Dużo uwagi poświęciło też ple-

num sprawom sportowym, a w szczególności planowanemu wyjazdom zagranicznym, których rozmach — mimo istniejących trudności — został nadal utrzymany.

Dyskusja w Kole Warszawskim

Dokonane w ciągu 17 mroźnych dni styczniowych przejście tzw. „superdirtissimi“ na ścianie Cima Grande w Dolomitach odbiło się szerokim echem nie tylko w Europie zachodniej, ale także w środowisku Klubu Wysokogórskiego. W dniu 30 maja 1963 r. Koło Warszawskie urządziło w związku z nim publiczną dyskusję na temat nowoczesnych kierunków w alpinizmie. W dyskusji wzięło udział ok. 60 osób, a za punkt wyjścia posłużył artykuł z „Die Alpen“, przetłumaczony przez A. Janika. Dobre wyniki dało zebranie pisemnych wypowiedzi od kilku aktywnych wspinaczy sportowych spoza Warszawy.

Głosy dyskutantów — rzecz całkowicie zrozumiała — były podzielone, przy czym przeważała opinia, że przejście jest wyczerpującym sportowy, jednakże zastosowanie licznych ułatwień technicznych i mechanicznych znacznie obniża jego walor. Poza dwoma czy trzema kolegami, wszyscy wypowiadali się krytycznie o komercyjnej stronie wydarzeń na Cima Grande (menażer, wynagrodzenie dla wspinaczy, głośna reklama itp.). Przenosząc dyskusję na bliższy nam grunt tatrzański stwierdzono, że taternictwo — mimo pewnych niepokojących objawów — komercjalizacja na szerszą skalę nie zagraża i problem ten u nas nie jest istotny. Natomiast jeśli chodzi o sprawę czystości stylu wspinania, wysunięto wniosek, ażeby Komisja Sportowa poświęciła mu nieco więcej uwagi i ew. przygotowała projekt ogólne obowiązujących wytycznych.

Itineraria tatrzańskie

Mięguszowiecki Szczyt

I wejście zimowe prawym skrajem wsch. ściany (drogą J. Kurczaba i K. Zdzitowieckiego): Zbigniew Jurkowski, Janusz Kurczab i Maciej Popko, 3—4 IV 1963. Nadzwyczaj trudno.

Ze schroniska wyruszyliśmy o godz. 4, wejście w ścianę o 7. Z uwagi na złe warunki atmosferyczne, jakie panowały do 2 kwietnia, założyliśmy, że zaatakujemy ścianę z kompletnym sprzętem biwakowym. Już podczas podejścia zachmurzenie ustąpiło, nie zdecydowaliśmy się jednak na pozostawienie obciążenia pod ścianą. Trasa wspinaczki na ogół nie odbiegała od letniej. W dolnej części ściany, aż do wyjścia ponad pas wielkich przewieszek, dużo czasu pochłaniało oczyszczanie skały ze śniegu. Najwięcej trudności sprawił na tym odcinku trawers w lewo na trzecim wyciągu. Moc energii kosztowało też przeciąganie plecaków. Ponad przewieszkami warunki śnieżne uległy wyraźnej poprawie, co pozwoliło na zwiększenie tempa. Zmrok zastał nas w połowie ściany, w terenie niedogodnym do biakowania, kontynuowaliśmy więc wspinaczkę, ażeby dotrzeć na wygodne półki poniżej ostrza pn.-wsch. filara. Biwak w godz. 23—8. Następnego dnia osiągnęliśmy siodełko w filarze i po kilku dalszych wyciągach — grań. O godz. 13 stanęliśmy na szczycie.

Pogoda była słoneczna i niezbyt mroźna (w dzień ok. -7° , w nocy -20°). Porywisty wiatr południowy nie dawał się odczuć w ścianie. Dolna część drogi zaśnieżona była silnie, górna raczej słabo, partie skalne wolne od lodu. Sprzęt na trójkę: lina nylonowa 60 m długości, 30 m repsnura, 3 czekany, 1 paraków (używanych w zejściu), komplet haków i karabinków, wyposażenie biwakowe.

Droga ma charakter skalny, jednak ze względu na interesujące trudności i wspaniałą scenierię wejście niechybnie do repertuaru częściej powtarzanych w zimie. Bez większego obciążenia można ją przebyć w ciągu 1 dnia.

Maciej Popko

Kazalnica Mięguszowiecka

Poręczowanie dolnej części ściany: Eugeniusz Chrobak i Tadeusz Łaukajtys, 2—5 XII 1962.

Przygotowując się do zimowego przejścia filara Kazalnicy rozpięliśmy w grudniu poręczówki w dolnej części ściany. W ciągu 3 dni umocowiliśmy 200 m lin, osiągając półeczki

2 wyciągi poniżej okapu. Liny te były wykorzystywane przy późniejszych przejściach zimowych filara, jak również — częściowo — przy naszym przejściu drogi Momatiuka. W grudniu trafiliśmy na warunki wyjątkowo ciężkie. Mróz sięgał do -25°C , a pierwszego dnia droga ze schroniska do Czarnego Stawu trwała aż 5 godzin, przy czym miejscami trzeba było kopać w śniegu chodnik głębokości do 1,7 m. Atakowanie ściany w tych warunkach było oczywiście nie do pomyślenia.

Eugeniusz Chrobak

Kazalnica Mięguszowiecka

I wejście zimowe lewym filarem pn.-wschodniej ściany: Lucjan Saduś i Ryszard Szafirski, 3—4 IV 1963.

Ze schroniska przy Morskim Oku wyszliśmy 2 kwietnia o godz. 23¹⁵. Było mroźno i padał śnieg, rozpogodziło się jednak szybko. Kiedy ok. godz. 1 wcodziliśmy w ścianę, niebo było już zupełnie czyste. Dolną część drogi pokonaliśmy korzystając z lin poręczowych założonych w grudniu przez Chrobaka i Łaukajtysa (zob. wyżej). Półki znajdujące się pod głównym spiętrzeniem filara osiągnęliśmy ok. godz. 3. Przy pomocy pętli zaciskowych weszliśmy 20 m po linie pozostawionej przez Rodzińskiego i Sadusia podczas ich próby zimowego przejścia drogi. Następnym wyciągiem pokonaliśmy pierwszy okap, trudny i ryzykowny ze względu na kruchość skały.

W wielki okap weszliśmy ok. godz. 10. Pierwszy pokonał go w 2 i pół godziny, przy czym chcąc uniknąć nadmiernego tarcia wypinał linę z karabinków. Stało się to poważnym utrudnieniem dla drugiego, który stracił na przejście aż 3 i pół godziny, w dodatku bardzo się męcząc. O godz. 15³⁰ rozpoczęliśmy najdłuższy wyciąg hakowy (35 m), wprowadzający do stanowiska przed tzw. „pajakiem”. Trawers z „pajakiem” pokonaliśmy w ciemnościach, korzystając z latarki czołowej. Nasz plan przewidywał wspinanie przez całą noc, jednakże wobec dużego zmęczenia postanowiliśmy zabiwakować. Aby osiągnąć względnie wygodne miejsce trzeba było jeszcze pokonać 10-metrową skrajnie trudną ściankę, nad którą można było usiąść. Mimo niskiej temperatury (-17°) i braku kurtek puchowych nie odczuwaliśmy zbyt dotkliwie zimna, marzły jedynie stopy. Natomiast dawało się nam we znaki

pragnienie, gdyż zabrane soki w puszkach pozamarzały. Następnego dnia wspinaczkę rozpoczęliśmy ok. godz. 6. Łatwiejszym już, lodowo-trawiasto-skalistym terenem osiągnęliśmy ostrze górnej części filara. Tutaj, z powodu dużego zaśnieżenia, trudności były znacznie większe niż normalnie w warunkach letnich. Ok. godz. 10 weszliśmy w partie podszczytowe, łatwe, lecz zagrożone lawinami. O godz. 11 ukończyliśmy drogę — w łącznie 24 godziny efektywnego wspinania, w tym 6 ze światłami czołowymi.

Przez cały czas utrzymywała się ładna, bezwietrzna pogoda, w dzień słoneczna, w nocy mroźna. Śnieg na podejściu był uciążliwy (głęboki zmrożony puch), w samej ścianie — bardzo niejednorodny. W dolnej części przeważnie twardy firn, miejscami „cukier” pokryty złodowaciałą skorupą. W przewieszanej partii filara warunki nie różniły się wiele od leńich, dopiero wyciągi ponad dużym okapem miały charakter naprawdę zimowy.

Zestaw sprzętu był właściwy. Składały się na niego: 2 liny nylonowe po 40 m, linka pomocnicza (repsnur) tej samej długości, 8 pętli, 39 karabinków, 35 haków, 1 czekan, 2 pary raków, 2 młotki lodowe i 2 latarki czołowe. Sprzętu biwakowego nie zabraliśmy. Dodatkowe wyposażenie stanowiła tzw. „wędka”, rodzaj lekkiej żerdki do przechwytywania wyżej wbitych haków. Z przyrzędu tego korzystaliśmy nie więcej niż 4 razy stwierdzając, że sprawa więcej kłopotu niż daje korzyści, a ponadto podnosi ryzyko wspinaczki.

L. Saduś i R. Szafirski

Kazalnica Mięgoszowiecka

I wejście zimowe pn.-wschodnią ścianą, drogą Momatiuka (między lewym filarem a środkową depresją): Eugeniusz Chrobak, Andrzej Heinrich i Tadeusz Łaukajtys, 6—10 IV 1963. Por. opis na s. 97.

6 IV. Schronisko opuściliśmy o godz. 3, wejście w ścianę o 4³⁰. Pokonaliśmy klasyczną dolną część ściany i zrobiliśmy 1 wyciąg hakowy w górę od „bazy wysuniętej”. Biwak w „bazie wysuniętej”.

7 IV. Wspinaczkę rozpoczęliśmy o godz. 5. Weszliśmy po linie pozostawionej poprzedniego dnia i pokonaliśmy 2 dalsze wyciągi hakowe: tzw. trawers z pajakiem i okap. O godz. 20 założyliśmy biwak w ławeczkach ponad krawędzią okapu, A. Heinrich biwakował wyciąg niżej.

8 IV. Początek wspinaczki o godz. 4³⁰. Przeszliśmy trawers ponad okapami — jeden z kluczowych fragmentów drogi i 2 następne wyciągi, po silnie ośnieżonej skale. Około godz. 20 założyliśmy kolejny biwak w ławeczkach.

9 IV. Pierwszy wyruszył z biwaku o godz. 5. W ciągu dnia skończyliśmy zasadnicze trudności drogi. Po pokonaniu hakowego zacięcia i zrobieniu niepełnego wyciągu zabiwakowaliśmy o godz. 19³⁰.

10 IV. Biwak opuściliśmy o godz. 4⁴⁵ i pokonaliśmy pozostałe trudności ściany. Weszliśmy na przełęczkę między turniczkami i trawersując je po pd.-zach. stronie osiągnęliśmy o godz. 12 wierzchołek Kazalnicy.

Przez pierwsze 4 dni utrzymywała się sprzyjająca wspinaczkę bezchmurna pogoda. W dzień było ok. 0 stopni lub trochę poniżej, ściana nie była nasłoneczniona. W nocy temperatura spadała do ok. -10°. Czwartego dnia wieczorem nastąpiło załamanie pogody, na szczęście bez większego opadu. Zerwał się wiatr halny, który towarzyszył nam do końca drogi.

Sprzęt zabrany w ścianę był wystarczający. Oto jego zestaw: 2 czekany, 2 młotki lodowe, 1 młotek skalny, 3 pary raków, 2 liny nylonowe po 60 m, 1 linka perlonowa 60 m, 3 kaski, 50 haków skalnych, 12 haków lodowych, 15 haków specjalnych, 5 kołków, 50 karabinków, wiertła i nity (nie używane), 9 sztuk ławeczek, kilkanaście pętli, 3 kurtki puchowe, 1 płachta biwakowa, maszynka benzynowa, 1 latarka czołowa, zapasowe rękawiczki i skarpety. Do biwakowania używaliśmy zwykłych ławeczek wspinaczkowych, nie mieliśmy śpiworów. Ostatni biwak był nieprzyjemny z powodu syjących się lawinek śnieżnych. Cały sprzęt donieśliśmy do końca drogi, oprócz zrzuconych 6 karabinków, 1 ławeczki i młotka, który spadł.

Tadeusz Łaukajtys

Niżnie Rysy

I wejście zimowe pd.-wschodnią ścianą drogą Nowickiego i Węgrzynowicza (WHP 1050): Maciej Bernadt i Janusz Chalecki, 15 IV 1963.

Pod ścianę zeszlśmy z przełęczy Waga. Na pd. stokach Doliny Ciężkiej leżał mokry i trudny do przebycia śnieg. Wspinaczkę rozpoczęliśmy o godz. 9³⁰, wiążąc się przed długim 50-metrowym trawersem biegnącym w lewo. Z kończącej go półki przeszliśmy przez ściankę (jak w opisie), po czym 20 m techniką hakową, 2 m w prawo od opisanego w przewodniku zacięcia. Ostatnie zacięcie w zerwie filara i stroma płyta były załodzone. Słoneczna i stosunkowo ciepła pogoda powodowała w dolnej części filara nieustanny opad wody z okapów ograniczających zerwy. Połoga górna część filara, śnieżno-skalna, zajął nam dużo czasu ze względu na niebezpieczeństwo lawin. Na wierzchołku Niżnich Rysów stanęliśmy o godz. 18.

Janusz Chalecki



Batorywiecki Szczyt.

Fot. Andrzej Zawada

Rumanowy Szczyt

Zaawansowana próba I zimowego przejścia prawego filara pn.-wschodniej ściany (WHP 1386): Teresa Puchaczewska, Jerzy Klauznicer i Piotr Misiurewicz, 5—7 IV 1963.

W ścianę weszliśmy około godz. 6, pokonując całkowicie zalodzoną Rynnę Birkenmajera razem z zespołem udającym się na wsch. ścianę Ganku. Wypadek, jaki miał tu miejsce, znacznie opóźnił wspinanie, tak że w Żlebie Stanisławskiego znaleźliśmy się dopiero około godz. 10. Żleb był pokryty śniegiem a u dołu miał 2 prożki lodowe. Wyszliśmy z niego na Niżni Rumanowy Przechód, skąd trasą mniej więcej letnią dotarliśmy do turni zwornikowej, w której łączą się dwa filary — środkowy i prawy. O godz. 19 założyliśmy tu biwak w jamie śnieżnej. Następnego dnia wspinaczkę rozpoczęliśmy o godz. 7 i ostrzem filara dotarliśmy na Wyżni Rumanowy Przechód, osiągnąwszy go w godzinach popołudniowych.

W końcowym odcinku drogi (WHP 1387 L) trudności wydatnie wzrosły, a bardzo strome skały pokryte były lodem i śniegiem. Zmrok zastał nas około 40 m od grani. Z powodu

braku miejsca na biwak wycofaliśmy się częściowo zjazdami, na Wyżni Rumanowy Przechód, gdzie znaleźliśmy się o godz. 2 w nocy. Tu rozpoczęliśmy następny biwak. Trzeciego dnia — wobec wyczerpania się zapasu jedzenia oraz odmrożeń stwierdzonych u części zespołu — zjechaliśmy do Żlebu Stanisławskiego, a potem Rynną Birkenmajera zeszlśmy do Doliny Kaczej.

Pogoda była piękna i mroźna. Droga jest wspaniała, lodowo-skalna, o charakterze i wymiarach alpejskich (trudne wycofanie). Jeśli założyć biwak na Wyżnim Rumanowym Przechodzie, całe przejście nie powinno zająć więcej, niż półtora dnia.

Piotr Misiurewicz

Kacza Turnia

I wejście zimowe prawym filarem wsch. ściany (WHP 1355): Krzysztof Cielecki, Janusz Polkowski i Andrzej Zawada, 17 IV 1963.

Wobec ciągłych zmian pogody — raz było słonecznie, to znowu mgły z drobnym śniegiem i deszczem — odkładaliśmy decyzję wyjścia z obozu, by wreszcie wyjść dopiero w południe. Zapadając się miejscami po pas w mokrym śniegu dotarliśmy do początku drogi. Trudności zaczynają się od pierwszego wyciągu, gdyż filar w dolnych partiach tworzy przewieszoną ścianę z systemem przewieszek i pionowych uskoków. Te ostatnie pokonałszy zgodnie z przewodnikiem trzema długimi krętymi trawersami po 50 m długości. Gorzej było od miejsca, gdzie przewodnik zalecał iść „następnie mniej więcej wprost w górę kilka długości liny”. Jakoś nie mogliśmy nigdzie „wystartować” wprost w górę w skali zaledwie dość trudnej. Ostatecznie rozwiązał ten problem 40-metrowy trawers w prawo po gładkiej płycie i w dużej ekspozycji (najtrudniejsze miejsce, brak szczelin na haki). Dalej pozostało już tylko parę wyciągów lodowo-skalnymi rynnami do początku śnieżnego zachodu, którym osiągnęliśmy lewy filar a następnie wierzchołek Kaczej Turni (od wejścia w ścianę 5 godzin).

Pogoda była zdecydowanie zła — mgły i wiatr, temperatura powyżej zera, śnieg lepki, skała mokra. Sprzęt: 2 liny 60 i 30 m, 3 czekany, 3 pary raków, 15 haków, 12 karabinków, 3 pary ławeczek.

Wróciliśmy z Przełączki pod Kaczą Turnią zachodnim stokiem Kaczej Turni (trawers bardzo nieprzyjemny, duże trudności w znalezieniu właściwej drogi, miejscami konieczność sztywnej asekuracji z haków) na Pustą Ławkę, skąd przy porywach halnego zeszlśmy do

obożu w Dolinie Kaczej ok. godz. 19.

Droga w warunkach zimowych jest b. interesująca, o zmiennych formacjach skalnych. Na wierzchołek Kaczej Turni można wejść również trudniejszym wariantem, bez wytrawersowania na lewy filar. Ujemną stroną drogi jest trudny powrót z Kaczej Turni, na który z góry trzeba zaplanować około 2 godz. przy świetle dziennym. Podobno przy dobrych warunkach śnieżnych lepiej jest schodzić z Przełączki pod Kaczą Turnią wprost do Doliny Ciężkiej zamiast trawersować zachodnim stokiem na Pustą Ławkę. Progi w kominie, którym kończy się depresja spadająca z przełączki, bywają zimą często zasypane.

Andrzej Zawada

Zastłoniasta Turnia

I polskie przejście zimowe (II w ogóle?) pn. ściany, tzw. depresją Sawickiego (WHP 1444): Jerzy Krajski i Piotr Misiurewicz, 18 IV 1963.

W ścianę weszliśmy ok. godz. 8. Trawkami od lewej strony osiągnęliśmy depresję, w której zalegał śnieg i lód. 20-metrowy próg lodowy wymagał rąbanie stopni. Na Zastłoniastą Ławkę weszliśmy lewą ścianą depresji, po b. trudnych i zalodzonych skałach (2 wyciągi!). Był to niewątpliwie kluczowy odcinek całej drogi. Łączny czas przejścia 3 godz. Temperatura wahała się w granicach 0 stopni, wiał silny wiatr, śnieg był wprawdzie mokry, ale dobrze związany. Zamiast drugiej pary raków mieliśmy tricouni, które się okazały b. niedobre. W sumie depresja Sawickiego stanowi w zimie interesującą średnio długą drogę, o charakterze lodowo-skalnym. Cechuje ją piękna sceneria.

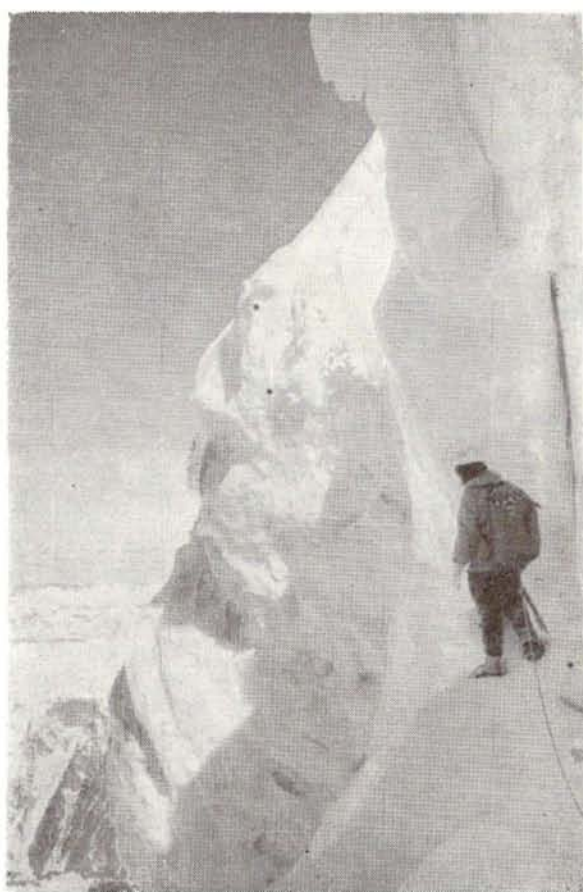
Piotr Misiurewicz

Sprostowanie

W numerze 1/62 naszego pisma ukazało się na s. 32 Itinerarium E. Chrobaka i T. Łaukajtysa z pierwszego zimowego przejścia lewego filara wschodniej ściany Rysów (drogą Nyki i Szurka z lata 1960), dokonanego w dniu 21 kwietnia 1962 r. Jak wynika z ostatnich publikacji A. Puśkaśa („Wysoke Tatry“ 3/63 s. 25) nie było to pierwsze, lecz dopiero trzecie przejście zimowe, bowiem na kilka dni przedtem, 16 kwietnia, przeszły tę samą drogę dwa zespoły czechosłowackie, K. Hauschke i Z. Studnička oraz P. Cernik i Voňatko. Poprosiliśmy o wypowiedź w tej sprawie E. Chrobaka. Okazuje się, że rozpoczynając wspinaczkę w dniu 21 kwietnia dostrzegł on wraz ze swoim partnerem stare ślady, ponieważ jednak urywały się one powyżej dolnego uskoku, przyjął, iż są pozostałością po jakimś zbłądzeniu.

Stowackich kolegów przepraszamy, apelując do nich jednocześnie o podawanie do druku w „Taterniku“ informacji o wszelkich nowych przejściach, by w przyszłości uniknąć podobnych nieporozumień.

Redakcja



Jan Mostowski pod barierą seraków na Mönchu.

Fot. Czesław Momatiuk

Z Alp

Mönch (4099 m), Berner Oberland

Zimowe wejście drogą przez Nollen: Czesław Momatiuk i Jan Mostowski, 5—6 III 1953.

Po noclegu w Guggihütte (2792 m) rozpoczęliśmy wspinaczkę o godz. 4 rano. Droga prowadziła początkowo śnieżno-skalnym stokiem i nie nastęczała poważniejszych trudności. Dostyc szybko osiągnęliśmy duże śnieżne Mönch-Plateau, skąd połogim śnieżnym terenem doszliśmy pod lodowy stok prowadzący do Nollen — lodowego uskoku stanowiącego kluczowy fragment drogi. Stok, podobnie jak wszystkie północne ściany, pokryty był wodnym lodem. Posuwaliśmy się nim, póki był niezbyt stromy, potem opuściliśmy go, wspinając się skałkami po prawej stronie. Już z daleka było widać, że stromy uskok Nollen pokryty jest lśniącym lodem. Forsowanie go wprost zmusiłoby nas do rąbania stopni na

odcinku jakichś 200 metrów. Zdecydowaliśmy się więc na obejście go z prawej strony poprzez barierę seraków, drogą mniej bezpieczną, ale pozwalającą na rozwinięcie większego tempa. Chwytności haków pokonałmy kilkunastometrowy próg lodowy a następnie lawirując między ogromnymi wiszczykami nad nami turniami lodowymi wyszliśmy po 2 godzinach ponad uskoki. Połogi śnieżny teren doprowadził nas do stromego lodowego stoku. Na odcinku 100 m rąbaliśmy tu stopnie i o godz. 17 osiągnęliśmy skalno-śnieżną platformę. Nie mając widoków na osiągnięcie w tym dniu szczytu, zdecydowaliśmy się na biwak, który opuściliśmy o godz. 8 rano. Po przez skalny stok a następnie śnieżno-lodową grań osiągnęliśmy o godz. 10³⁰ wierzchołek.

Zeszliśmy pd.-zach. granią do przełęczy Ober-Mönchjoch (3626 m) i przez lodowiec Jungfraufirn dotarliśmy do Jungfraujoch, skąd kolejką zjechaliśmy do stacji Eigergletscher. Pogoda dopisywała nam przez cały czas znakomicie, jednakże warunki, jakie zastaaliśmy na ścianie, były wyjątkowo trudne i od lat nie notowane. Wodny lód pokrywający północne stoki pękał przy rąbaniu i opadał nieregularnie, również wkręcanie śrub lodowych powodowało wykruszanie się i odpryski, wobec czego zmuszeni byliśmy używać zwykłych haków lodowych. Drogę traktowaliśmy jako trening przed planowanymi dalszymi przejściami.

Jan Mostowski

Skalne drogi w Tatrach

Pośrednia Jaworowa Turnia

I wejście częściowo nową drogą przez pn.-wschodnią ścianę (z Doliny Jaworowej): Maciej Bernadt i Janusz Chalecki, 17—18 IV 1962.

Pośrednia Jaworowa Turnia z drogą Bernadta i Chaleckiego.

Fot. Janusz Chalecki



Droga miejscami nazwyczaj trudna, w zimie piękna, o dużych trudnościach lodowych. W górnej części łączy się ona z drogą M. Bądzynskiego i Z. Tracza („Taternik” 1/1962, s. 36). Czas pierwszego przejścia 15 godz., przy złych warunkach śnieżnych.

W pn.-wschodniej ścianie Jaworowych Turni znajduje się w linii spadku Ryglowej Przełęczy spory kocioł zbierający śniegi z urwisk Wielkiej Jaworowej Turni, Ryglowej Przełęczy i Pośredniej Jaworowej Turni. Do doliny kocioł ten uchodzi szerokim, stromym, w zimie zalodzonej kominem, którym wieszka w dolnej części letnia droga poprzez pn. ścianę Wielkiej Jaworowej Turni (AP 12/VIII).

Prawą stroną komina jedną długość liny wprost w górę po śniegu i stromym lodzie na wygodne stanowisko pod prawą ścianą ograniczającą komin. (Dojść można tu również idąc jeszcze bardziej po prawej stronie rodzajem zachodu skalnego — b. trudno, skała źle uwarstwiona). Stąd trawers po lodzie w poprzek komina skośnie w lewo pod przewieszoną ściankę. Nią wprost w górę (nierzwykają trudno) do mniej stromej zacięcia wiodącego w skos w prawo. Zacięciem ok. 15 m a następnie przez jego lewą ściankę na stromy kruchy skalisto-trawiasty teren. Nim wprost w górę jeden wyciąg liny (b. trudno) na śniegi w dolnej części wspomnianego wyżej kotła.

Teraz w kierunku Ryglowej Przełęczy poprzez niewielki próg do górnej części kotła, skąd kilka długości liny skosem w prawo w górę aż do wyraźnego żlebu spadającego z siodła między dwiema szczytowymi turniczkami Pośredniej Jaworowej Turni. Z prawej (orograficznie lewej) strony żleb ten ograniczony jest wybitną grzędą skalną wiodącą na prawy wierzchołek Pośredniej Jaworowej

Turni. (Droga odtąd pokrywa się mniej więcej z drogą Bądryńskiego i Tracza). Żlebem po śniegu wprost w górę do miejsca, gdzie przechodzi on w stromą skalną depresję. Prawą częścią owej depresji ok. 20 m w górę (nierzadko trudno, krucho) a następnie trawers w lewo na łatwiejszy skalisto-trawiasty teren, po czym w prawo w górę 30 m na przełączkę między dwoma blokami szczytowymi Pośredniej Jaworowej Turni.

Maciej Bernadt

Mniszek

I wejście środkiem wschodniej ściany: Józef Nyka i Maciej Popko, 26 VII 1962. Droga skrajnie trudna, odcinek techniką hakową, b. ekspozowana. Czas pierwszego przejścia 10 godz.

Srodkową część wschodniej ściany Mniszka stanowią żółte urwiska przecięte pionową rysą, od góry nakryte wybitnymi okapami. Pod urwiskami znajduje się dość obszerna platforma, którą osiąga się od prawej strony trawiastym terenem (2 wyciągi, pod koniec kominek z zaklinowanymi blokami, II i III).

Z prawej części platformy b. stromą zwążającą się załupą 25 m w górę, ponad wspomnianą wyżej rysę (IV — VI). Stąd techniką hakową, wykorzystując wątlą szczelinę 6 m w górę pod lewy skraj wielkiego okapu (th 3) i dalej pionowo w górę wzdłuż wysuniętego bloku okapu 6 m — częściowo klasycznie — na stanowisko pod dziobami skalnymi. Ze stanowiska pochyłą płytą 5 m skośnie w prawo (pod koniec VI, 2 haki jako chwyt) na trawiaste stopnie, którymi w górę pod ogromny okap. Stanowisko z niezbyt dobrymi hakami. Stąd trawers w lewo półczką ok. 10 m (III) i w górę pionową rysą (IV) na wygodne stopnie u lewego skraja okapu. Dalej kilka metrów kominkiem przez zaklinowany blok i w lewo przez płytowe żeberko (V, hak jako chwyt) na stopnie pod przewieszką. Przez przewieszkę (VI, jedna ławeczka) na trawiaste stopnie, skąd trawers w prawo pod przewieszkami i przewinięcie w górę (V, hak jako chwyt) do szerokiej depresji. Depresją w górę pod płytowe żebro ograniczające wsch. ścianę. (Stąd można dojść w lewo 12 m pod pionową kruchą rysę, stanowiącą ew. prostszy i ładniejszy wariant na wierzchołek).

Ze stanowiska płytowymi skałami (IV) na żebro i nim w lewo w górę na trawiasty zachód biegnący w kierunku Wyżniej Mnichowej Przełączki. Z lewego skraja zachodu w górę dobrze urzeźbioną ścianką 12 m (IV), po czym trawers w prawo 8 m do komina. Nim 20 m w górę i pod zaklinowanym blokiem na wierzchołek Mniszka.

J. Nyka i M. Popko



Schemat drogi środkiem wschodniej ściany Mniszka.

Rys. Józef Nyka

Przemysław Burchard: Wśród mogotów i krokodyli. Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa 1963; s. 280. Cena zł 19.

27 września 1961 r. wyruszyła z Gdyni na pokładzie statku „Plast” grupa dziewięciu grotolazów, członków Sekcji Tatarnictwa Jaskiniowego Klubu Wysockiego. Celem podróży była Kuba. Przez następne trzy miesiące czytaliśmy w prasie doniesienia o działalności i sukcesach Polaków w całkowicie nowym dla siebie terenie. Zainteresowanie, jakie wzbudziła wyprawa spowodowało, że po jej powrocie do kraju z niecierpliwością oczekiwaliśmy ukazania się obszerniej relacji z przebiegu całości prac eksploracyjnych — książki Przemysława Burcharda „Wśród mogotów i krokodyli”. Jest to już siódma książka w dorobku tego autora, jedna z czterech w całości poświęconych speleologii. Otrzymujemy w niej barwną opowieść o egzotycznej Kubie i jej równie egzotycznych jaskiniach, a przy sposobności także wiele rzetelnych informacji o życiu i problemach młodego kraju.

Wraz z autorem przeżywamy wielkie sukcesy wyprawy. W ciągu trzech miesięcy zbadano 37 jaskiń, w których przebyło 94 km podziemnych korytarzy — z tej liczby 21 km to nowe odkrycia! Na czoło wysuwają się trzy osiągnięcia dużej klasy:

1. Zdobywanie jaskini Pozo Prieto i ustanowienie tym samym rekordu głębokości obu Ameryk (minus 380 m).

2. Zdobywanie jaskiń Rollando i Mayanna, przy czym ta pierwsza jest, po Pozo Prieto, drugą najgłębszą jaskinią Kuby i Ameryki Łacińskiej (minus 122,5 m).

3. Przepłynięcie podziemnego ciągu rzeki Rio Jatibotico del Norte w jaskini Boquerones. Dotychczasowe próby podejmowane przez speleologów Kuby, Meksyku i USA kończyły się niepowodzeniami. Należy dodać, że akcję przeprowadzono w rekordowo krótkim czasie 1 godz. i 40 minut.

Wyprawa odbyła się w czasie, kiedy w polskim tatarnictwie jaskiniowym nastąpił przełom. Po pewnym zastoj w końcu lat pięćdziesiątych znów zaczęto odkrywać w Tatrach nowe jaskinie. Udało się zejść na wieleset metrów w głąb (Śnieżna minus 640, Ptasia minus 360 m), odkryto wielki system jaskini Czarnej, znaleziono dziesiątki innych, dotąd nie znanych, zbadano dalsze korytarze dawniej przebadanych systemów. To były duże osiągnięcia, trzeba jednak pamiętać, że doko-

nało ich wielu ludzi a wysiłek eksploracyjny trwał wiele miesięcy i rozłożył się na dziesiątki grotolazów. Tymczasem na Kubie mała przeciętka grupa dokonała podobnych odkryć w czasie wielokrotnie krótszym i na obszarze wielokrotnie większym od Tatr, słabiej co prawda zbadanym i kryjącym więcej jaskiń. Dzielna dziesiątka pod wodzą Macieja Kuczyńskiego w pełni zasłużyła na przydomek, jaki jej nadali grotolazi kubańscy — „titanos de cuevas”. Do dokonania takich osiągnięć nie wystarczy same umiejętności sportowe i doświadczenie jaskiniowe, tu potrzebna była także rzetelna i głęboka wiedza oraz znajomość zagadnień naukowych związanych z badaniem podziemnego świata.

Książka Burcharda jest bardzo osobista. Niekiedy może to być nawet wadą, bo w mnóstwie wspomnień ulegają częściowemu zatarciu osiągnięcia innych uczestników. Z drugiej strony dzięki tej intymności treść staje się bliższa odbiorcy. Czytelnik nie znający jaskiń, dzieląc bezpośrednio przeżycia autora, lepiej może pojąć całe niebezpieczeństwo skalnych podziemi, a równocześnie ich piękno, lepiej ocenić trud włożony w zdobycie i radość odkrycia. Można również dyskutować, czy dobrze się stało, że pewne fragmenty książki autor opublikował wcześniej na łamach „Poznaj świat”. W ogóle — pisanie o jaskiniach to w Polsce rzecz ryzykowna. Klan grotolazów jednoznacznie tyje indywidualności, że zadowolili wszystkich nie sposób. Każda publikacja, każda książka zdobywa tyłu sympatyków co wrogów. Myślę jednak, że tym razem tych drugich będzie zdecydowanie mniej. „Wśród mogotów i krokodyli” zaliczyć można do najlepszych książek autora i tym samym postawić ją w rzędzie najlepszych polskich publikacji poświęconych speleologii.

Bronisław Wotoszyn

Samivel: Opowieści karkolonne. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1962; s. 236. Cena zł 30.

Po „Białych Kordyliarach” G. Kogana i N. Leininger oraz „Gwiazdach i burzach” G. Rebufata, „Opowieści karkolonne” są trzecią książką francuską, tematycznie związaną z górami, jaka w ostatnich czasach trafia do rąk polskiego czytelnika. Jest w tym dowód, że artystyczna interpretacja wrażeń wzniesionych przez człowieka z gór staje się i u nas

zagadnieniem pasjonującym coraz to szerszy krąg odbiorców. Stąd też słowa pochwały należą się wydawnictwom podejmującym trud udostępniania nam najciekawszych pozycji francuskiej literatury alpinistycznej.

Samivel (właściwe nazwisko: Paul Gayet-Tancrede) nie jest postacią w Polsce zbyt dobrze znaną — a szkoda. Ten świetny alpinista, autor wielu przewodników i prac o charakterze góroznawczym (on to właśnie opracował arcyciekawie rozdział „La montagne des mythes et des legendes” w encyklopedii Larousse’a „La montagne”) jest jednocześnie znakomitym artystą przybliżającym św. at gór szerokiemu ogółowi. Z jednakową pasją czyni to w swej twórczości plastycznej — że wspomnimy choćby „Operę szczytów” — co i piórem. Kolosalne doświadczenie znawcy przedmiotu, erudycja, wszystko to sprawia, iż Samivel-pisarz umie znaleźć dla siebie temat tam, gdzie inni pisarze-alpinisci przechodzą, nie zauważwszy niczego, co by było godne ich uwagi.

„Opowieści karkolonne” są tomem niezwykle starannie skomponowanym i ozdobionym zręczną kłamią wierszy ilustrujących tezy poszczególnych opowiadań. Samivel odbiegł od klasycznej pamiętnikarsko-reportażowej linii rozwoju literatury alpinistycznej, sięgając w świat fikcji literackiej, wspartej na realiach historycznych czy też motywach ludowych. Dzięki temu „Opowieści karkolonne” stają się zbeletryzowaną historią poznawania gór przez człowieka, ukazującą część z jaką do nich odnosili się ludzie prehistoryczni, demonstrującą ewolucję stosunku człowieka do gór i zmiany zachodzące w jego psychice poprzez kontakt z nimi. Na kanwie odnalezionego na „Skale Cudów” w masywie Mont Bego napisu „Btio Astrologus” osnuł Samivel anegdotę o astrologu wybierającym się w góry aby zaklinać siły nadprzyrodzone, ilustrując w ten sposób typowe dla średniowiecza przekonanie, że góry są siedzibą zła. Historia kryształnika z Chamouny wskazała na te odległe historycznie czasy, kiedy w góry chodzono tylko po to, by wydobywać ukryte w nich skarby — już wtedy jednak rozdziło się w duszy człowieka marzenie o podboju szczytów, o dokonaniu bezinteresownych wyczynów. Do znanych faktów odwołał się autor tworząc oryginalną w swym paralelizmie opowieść o przeżyciu Napoleona przez Przełęcz Św. Bernarda. Osobno wreszcie trzeba wymienić dwa, czysto już alpinistyczne, opowiadania:

„Pierwszy raz”, w którym nowej literackiej interpretacji doczekała się historia zespołu Whympera, oraz „Siedzibę Bogów” — całkowicie już fikcyjny dziennik losów wyprawy himalajskiej, ukazujący jej uczestników z dużą znajomością psychiki.

Ta sucha relacja treści „Opowiadań” nie jest w stanie oddać rzeczywistego bogactwa ich zawartości. Nie szło tu bowiem autorowi o ukazanie historii z samymi tylko wyznaczającymi ją faktami, lecz o wypełnienie ram tych faktów prawdą o człowieku. Są więc „Opowieści karkołomne” w pewnym sensie apokryfem — realistycznym jednak i wyposażonym w głębokie treści humanistyczne. Pisarz przedstawia ludzi, przytacza wiadomości o ich życiu, charakterze, marzeniach, ambicjach — wyrokowanie o ich rzeczywistej wartości pozostawia przy tym czytelnikowi. Najdobitniej przejawia się to może w „Przejściu przez Przełęcz Sw. Bernarda”, zestawiającym dążenia Napoleona i prostego górala. Zdumiewać może czytelnika swoboda, z jaką Samivel konfrontuje marzenia tych dwóch ludzi, z których dla jednego ideałem szczęścia jest widzieć „krzyżyk na szyi meł jedynej”, dla drugiego zaś — „w koronie głowę Józefiny”. Jeszcze bardziej zaś zdumiewa postawienie pytania: „I jak tu teraz rozstrzygnąć, który z nich dwóch, po rozważeniu wszelkich zasług i uchybień, przeżył dni swoje w sposób bardziej godny człowieka...?” Jest w takiej postawie autorskiej wirtuozeria i jest odważa, której dowodzą zresztą i inne opowiadania.

By w pełni ocenić wartość „Opowieści karkołomnych” zwróćmy jeszcze uwagę na swobodę narracji, na doskonałą umiejętność portretowania osób, na to wreszcie, że pisarz ukazuje nie samą tylko historię wnikania człowieka w góry, lecz artystycznie kształtuje obraz ewolucji psychicznej ludzkości, oglądanej z perspektywy gór. Aż szkoda, że tak mało znamy Samivela. A może przyjdzie dzień, kiedy na naszych półkach księgarskich ujrzemy polski przekład arcydowcipnej jego powieści „Monsieur Dumollet sur le Mont-Blanc”?

Jacek Kolbuszewski

Radovan Kuchar: Deset velikých sten. Wyd. STN, Praha 1963; s. 171. Cena Kčs 19,90.

Radovan Kuchar jest dzisiaj bez wątpienia pierwszą gwiazdą wśród alpinistów czeskich, a jego wielkie sukcesy w Alpach i na Kaukazie należą do szczytowych osiągnięć całego alpinizmu czechosłowackiego. Jako wspinacz wystartował on w r. 1944 w Czeskim Raju, zaś wyrobienie górskie i wysoką technikę zdobył w latach 1947—55 na granicach

i ścianach Tatr. W r. 1954 odwiedził Karpaty Siedmiogrodzkie, a w 1956 otrzymał chrzest alpejski, pokonując pierwszą ze swoich „wielkich ścian” — północną ścianę Grand Charmoza. Potem przyszedł dalsze zdobycze: zachodnia ściana Petit Dru (1957. VIII przejście), Mont Blanc przez „Gruszkę” (1959), filar Walkera w masywie Grandes Jorasses (1959) oraz północna ściana Donguz-Orun (1959). Rok 1961 przyniósł wspaniałe północne ściany Matterhornu, Eigeru i Cima Grande di Lavaredo, wreszcie rok 1962 — północną ścianę Dych-Tau (IV przejście).

Kuchar nie jest zawodowym literatem, niemniej jego szczerą i bezpretensjonalną książkę zaliczyć trzeba do bardziej udanych dzieł literatury górskiej ostatnich lat. Umilowanie gór i taternictwa przebiega z każdego wiersza, a celne uwagi dotyczące historii zdobywania poszczególnych szczytów dają świadectwo rzetelnej znajomości literatury alpinistycznej. Książka Kuchara stanowi też obraz „drogi ku szczytom” bynajmniej nie wolnej od błędów i poszukiwań. Po okresie zafascynowania francuską brawurą i techniką, przeszedł autor do właściwej oceny walorów moralnych szkoły radzieckiej i zdobył się na własny styl, własny stosunek do złożonego zjawiska, któremu na imię „alpinizm”. Miło uderza niezwykle sentyment, jakim zdobywca najgroźniejszych urwisk Europy darzy treningowe skałki swoich stron rodzinnych:

„...wszystko, cokolwiek kiedy osiągnąłem w górach — pisze — wywozili się z szorstkich turni naszych skałek...”

Zdjęcia na kredowym papierze wypadły doskonale, natomiast sporo do dyskusji pozostawiają schematy rysunkowe, które można było zaopatrzyć przynajmniej w wysokości szczytów i przełęcz.

Jaroslav Ondříček

O záchrane v horách. Opracowanie: zespół HS ČSTV. Wydawnictwo „Šport”, Bratislava 1962; s. 207. Cena Kčs 7,70.

Znajomość skomplikowanych arkanów nowoczesnego ratownictwa górskiego jest słabą stroną wszystkich bez mała taterników, nawet tych najbardziej sportowo wyrobionych. Wymieniona wyżej książka nie jest wprawdzie przeznaczona dla nich, nie przeszkadza to jednak, by z użytkiem przestudiowali ją „od deski do deski”.

Poświęcona ona jest działalności i działaniu czechosłowackiego pogotowia górskiego — Horskiej służby TANAP, zawiera jednak również wyjątkowo bogaty materiał instruktażowy. Auto-

rzy podzielili ją na 10 rozdziałów, w których omawiają poszczególne zagadnienia: 1. Historia i rozwój ratownictwa „órskiego” na Słowacji; 2. Niebezpieczeństwa w górach, z podziałem na subiektywne i obiektywne (niepogoda, mgła, spadające kamienie, lawiny); 3. Zapobieganie wypadkom poprzez znakowanie szlaków, drogowskazy, alarmy lawinowe, książki wejść szczytowych itp. 4. Zaopatrzenie stacji ratowniczych w lekarstwa i środki opatrunkowe. 5. Organizacja służby ratowniczej na obszarze ČSR. 6. Pierwsza pomoc w górach. 7. Sprzęt i urządzenie stacji HS. 8. Organizacja akcji ratunkowej — przygotowanie, dojeżdżenie na miejsce wypadku, opieka nad rannym, transport. 9. Technika przeprowadzania akcji ratunkowych. 10. Niebezpieczeństwa lawinowe i zapobieganie im.

Publikacja zawiera wiele pouczających i praktycznych szczegółów o zachowaniu się w górach turysty i taternika, bardzo interesujące są partie poświęcone nowoczesnej technice niesienia pomocy poszkodowanym: transport środkami improwizowanymi, ratunek w ścianie, przewóz przy pomocy „fotela Grammingera”, zjazd z rannym na linie, instalacja kolejki z lin, ratowanie zaspanych lawiną. Bardzo cenna jest obszerna tablica przeglądowa „Pierwsza pomoc w wypadkach górskich” (22 strony tekstu). Głównie dla przestrogi, opisano w książce 4 tragiczne wypadki, które poddano fachowej analizie. Dla polskiego czytelnika szczególne znaczenie mają liczne zdjęcia instruktażowe (60) oraz rysunki (przeszło 100), ułatwiające wnikięcie w treść nawet bez biegłej znajomości języka i fachowej terminologii słowackiej.

J. Ondříček

Wielka Encyklopedia Powstania PWN. Warszawa 1963. Tom I, s. 838.

Jeden z czołowych bestsellerów polskich ostatnich lat, niestety dostępny tylko w prenumeracie. Tom I zawiera hasła od A do Ble. Taternicy rozpoczynają jego lekturę od obszernego (przeszło 2 kolumny) artykułu syntetycznego „alpinizm”, podanego nazwiskiem W. H. Paryskiego. Artykuł jest bardzo bogaty w treść i daje dobry obraz drogi człowieka ku wysokim szczytom. Najważniejsze polskie wyprawy poza góry Europy zestawia specjalna tablica przeglądowa. Znalazło się też miejsce dla rysunku, na którym przedstawiono sprzęt alpinistyczny — tradycyjny i nowoczesny. Tom zawiera ponadto kilka ciekawych dla wspinacza haseł geograficznych, jak np. „Alpy”.

„Andy“, „Atlas“, „Aconcagua“, oraz osobowych, jak „Abalakow“, „Albert I“, „Bachleda“, „Bernadzikiewicz“ i inne. Ma też swoje hasło — stosunkowo pokazne — obecny wiceprezes Klubu Wysokogórskiego i znany działacz polityczny, W. Bieńkowski.

Z drobnych pomyłek, jakie zauważyliśmy w artykule „Alpinizm“, wymienimy rok 1938 przy informacji o zdobyciu północnej ściany Cima Grande (powinno być 1933), a także Niemców przy przejściu północnej ściany Eigeru (powinno być zespół niemiecko-austriacki). W tak popularnym wydawnictwie trochę myląco brzmią też sformułowania w rodzaju „drogę tę zdobyli 1938 Włosi, a 1959 powtórzyli Polacy“ (przy filarze Walkera i Eigerze), zawiera się w nich bowiem sugestia, że polskie przejścia były drugimi z kolei. Czy zdjęcie na tablicy „Alpy“ rzeczywiście przedstawia Wetterhorn?

J. N.

Wierchy. Rocznik poświęcony góróm. Rok 31 (1962). Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1963. S. 325. Cena zł 50.

Omawiając ostatni (31) tom „Wierchów“ trzeba przede wszystkim zaznaczyć, że zamyka on pewien etap. Długi, bo już 40-letni. W r. 1923 ukazały się po raz pierwszy, kontynuując pod zgrabną nazwą tradycje „Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego“. Łącznie obu wydawnictw mamy już tomów 69 — raczej zresztą „tylko“ 69, gdyż gdyby nie przerwy wojenne, jakże zwykła rzecz w naszym kraju, mielibyśmy ich o wiele więcej.

Jeśli mowa o „Wierchach“ w „Taterniku“, zadanie jest o tyle ułatwione, że wydawnictwa nie trzeba prezentować. Każdemu z ludzi gór są one doskonale znane, choć zaś ma się zaliczać do owych ludzi gór, jeśli nie właśnie taternicy. I nawet jeśli w słowie „każdemu“ tkwi odrobina iluzji, pozwólmy sobie tu na nią. Przecież tak być powinno, doprawdy warto, aby rocznik był towarzyszem życiowej drogi wszystkich, którzy góry chcą przeżywać w pełni, to zaś jest możliwe przy podbudowaniu własnych doznań wszechstronną znajomością górskich spraw i rzeczy.

Odkładając pełną ocenę całości do stulecia „Wierchów“ pragnę tylko powiedzieć, że za największe ich osiągnięcie uważam dopracowanie się własnego stylu, utrzymanie ciągłości tradycji z niezmienną główną linią oraz tą samą, w ogólnym zarysie formą. Jest to rzecz godna odnotowania wobec panującej w naszych wydawnictwach manieri rozpoczęcia wciąż wszyskiego od nowa. Z kolei znowu przez wszechstronność tematyki i fakt, że zamieszczane materiały są po równi „do czytania“ jak i „do korzystania“, osiągnięty został stan pożytecznej równowagi, a rocznik może pełnić zarówno funkcję doraźną, jak i gromadzić opracowania o znaczeniu trwałym. Jest to dużym sukcesem jego kolejnych redaktorów — J. G. Pawlikowskiego do r. 1959, a po wojnie Walerego Goetla i, od lat z górą dziesięciu, Władysława Krygowskiego.

Bieżący tom „Wierchów“ dedykowany jest Juliuszowi Zborowskiemu, z okazji półwiecza działalności na polu badania góralszczyzny. Z problematyki dla taternika zasadniczej, najszerszej są tu potraktowane sprawy jaskiniowe. Znajdujemy więc omówienie eksploatacji odkrytej w r. 1961 Jaskini Czarnej w Tatrach, pióra J. Rabka. Autor doprowadza swą relację do momentu stwierdzenia długości 6 km podczas wiosennej wyprawy w r. 1962, kierowanej przez Teresę Janasz. Druga z naszych jaskiń, której poświęcono obszerny szkic, to Magurska. Z. Wójcik omawia problem, czy żył w niej człowiek jaskiniowy i stawia wniosek, że nie. Obszerne i interesujące sprawozdanie z wyprawy na Kubę (1961/62) składa Przemysław Burchard. Wyprawa była największym dotąd przedsięwzięciem w dziejach speleologii polskiej, autor zaś określa ją również, jako jedno z największych w świecie.

Z okazalszych pozycji alpinistycznych znajdujemy w „Wierchach“ literacko ujęte wspomnienia kaukaskie niezapomnianego Janka Długosza („Twarz Szchara“). Interesujący jest też szkic A. Kwiatkowskiego „Góry na ekranie“, niestety nie omawiający polskiego dorobku w tej dziedzinie. Dział „Kronika“ zawiera szereg ciekawych notatek z zakresu taternictwa, alpinizmu, speleologii i ratownictwa górskiego, jest tu też krótkie lecz

bardzo treściwe omówienie bogatych sezonów wspinaczkowych zimy 1961/62 i lata 1962, pióra Mieczysława Babińskiego.

Tyle o aktualnym roczniku. Powiedzmy jeszcze, przy okazji, że w dziesięciolecie jakie „Wierchy“ rozpoczynają, chyba wszyscy chętnie widzielibyśmy w nich więcej tematyki taternickiej. Przykładowo jedna z propozycji: obecnie, gdy eksploatację Tatr mamy już zasadniczo zakończoną, nadszedł chyba czas na całościowe opracowanie poszczególnych grzbietów i masywów, zamykające w sobie w sposób pełny dzieje ich zdobycia. Chyba właśnie w tego rodzaju pracach najkorzystniejszą będzie zawrzeć, raz a gruntownie, wiedzę na ten temat, weryfikując przy okazji niejedno z dotychczasowych ustaleń. Jednakże te sprawy — na później. Tymczasem życzymy „Wierchom“ dalszych sukcesów i takiej kondycji, jaką ma ów przewodnik słowacki, Poczujaw (patrz str. 236 omawianego tomu), który w 76 roku życia wszedł po raz 625 na Gierlach. Przyjmijmy to za koronny dowód prawdziwości znanego powiedzenia, że życie zaczyna się właściwie dopiero po czterdziestce.

Adam Chowański

Tatrzański Park Narodowy. Mapa w podziałce 1:30 000. Warszawa 1962. Cena zł 15.

Z wszystkich wydanych po wojnie polskich publikacji kartograficznych ta chyba najbardziej zasługująca na rekomendację z lamów „Taternika“. Sytuację oparto na wspaniałej mapie fotogrametrycznej z r. 1934, dogodna podziałka dała możliwość zobrazowania terenu górskiego w sposób niemal drobiazgowy. Nazewnictwo opracował świetny znawca tej dziedziny, W. H. Paryski, prawdziwym majstersztykiem jest rysunek rzeźby skalnej naniesiony przez Z. Korosadowicza. Kiedy się wpatrzeć w szczegóły „anatomii“ ścian Mięgoszowieckich Szczytów, Młynarzy, Kozich Wierchów, widać na pierwszy rzut oka, że autor rysunku zna je na wylot, że spędził w nich niejedną godzinę i niejedną dzień. Bogata treść i staranny druk czynią z mapy osiągnięcie, którego trzeba PPWK pogratulować.

Film górski

Zamarła Turnia. Scenariusz: Jan Długosz. Reżyseria i zdjęcia: Sergiusz Sprudin. Komentarz: Andrzej Ziemiński. Produkcja: Wytwórnia Filmów Dokumentalnych, r. 1962.

Najnowszy film górski Sergiusza Sprudina, zrealizowany latem 1962 r. w Dolince Pustej — to popularna monografia historyczna południowej ściany Zamarłej Turni (2179 m), bez wątpienia jednej z najstłyniejszych w Tatrach. Dawne zachowane zdjęcia z epoki jej pierwszego zdobycia (1910); pokolenie taterników, które przezwyciężyło groźny urok ściany; wreszcie część współczesna — szóstka wspinaczy (Cz. Momatiuk z siostrą Lidą, Z. Jurkowski, A. Nowacki, A. Pietsch, A. Wojnarowicz) pokonuje Zamarłą trzema różnymi drogami — klasyczną, przez płyty Wrześniaków i tzw. kantonem hakowym. Nie idzie tu nawet o wyczyn, lecz codzienny trening wspinaczkowy, wymagający jednak nieustannego napięcia uwagi. Sergiusz Sprudin ukazał miarę postępu w taternictwie. Jego film wydaje się ponadto mniej hermetyczny niż np. „Wariant R” i lepiej przez to służy propagandzie wspinaczkowego sportu. Na

Festiwalu Filmów Turystycznych w r. 1963 uzyskał nagrodę za zdjęcia.

Śladami Byrcynowych wspominków. Scenariusz i reżyseria: Jan Rieser. Zdjęcia: Janusz Czeż. Komentarz czyta: Kazimierz Rudzki. Produkcja: Wytwórnia Filmów Oświatowych, r. 1962.

Film, którego realizację rozpoczęto przed dwoma z górą laty, został wreszcie ukończony. Wspomnienia nestora przewodników tatrzańskich, Stanisława Gąsienicy-Byrcyna, potraktowane zostały w sposób nie wiążący, posłużyły jako pretekst dla dowcipnie — niekiedy — ujętych narciarskich aktualności „z myśką”, czasów skreślenia telemarkiem i narciarek w krynolinach, odpychających się jednym kijem. Twórcy zawierzyli rzadko stosowanej przy filmach-rekonstrukcjach metodzie inscenizacji. Nie znaleźliśmy w nim zatem dokumentacji ikonograficznej czy fotograficznej, lecz tylko dość zręcznie pokazane staromodne ewolucje narciarskie, wyeksponowane z wyraźną stratą dla partii taternickich, szczególnie letnich. Film otrzymał I nagrodę na Festiwalu Filmów Turystycznych.

Aleksander Kwiatkowski

Sergiusz Sprudin przy pracy nad filmem „Zamarła Turnia“.

Fot. Czesław Momatiuk



Do rozpowszechnienia weszły ostatnio dwa filmy czechosłowackie, mniej lub bardziej wiążące się z tematyką górską i alpinistyczną. Pierwszy z nich, to pełnometrażowy dokument o Tatrach pt. „Wyprawa w Tatry Słowackie” („Expedicia Tanap”), reżyserowany przez K. Skřípský'ego zrealizowany przy współpracy znanych taterników, m. in. Arna Puškáša. Głównym przedmiotem tego, nie wychodzącego ponad przeciętność barwnego filmu jest pokaz tatrzańskiej flory i fauny, jednakże efekt końcowy stanowi drobniagowa, 20-minutowa rela-

cja z przejścia zachodniej ściany Łomnicy efektowną i fotogeniczną „Hokejką”.

Inny film, fabularna „Zamieć” (Vanice), ukazuje pracę czechosłowackiego pogotowia górskiego (HS) w Karkonoszach, w czasie kilkunastodniowej burzy śnieżnej. I ten film nie zalicza się do arcydzieł, dobrze spełnia natomiast do-razne zadanie propagandowe: przestrzega przed brawurą i nieostrożnością w górach. Kulminacyjna scena zejścia lawiny — sfilmowana została przy pomocy b. prymitywnej projekcji tylnej. Również portrety psychologiczne głównych postaci (np. ratownik zwalczający lawinowy uraz) rażą taniutkim schematem.

Aleksander Kwiatkowski

Muzyka

KONCERT JUBILEUSZOWY

Nadzwyczajny Koncert Symfoniczny w Filharmonii Narodowej w Warszawie urządzony dla uczczenia 60-lecia istnienia zorganizowanego ruchu taternickiego w Polsce. 15 marca 1963 roku.

Taternictwo od początku swego istnienia przyciąga ludzi najrozmaitszego pokroju, różnych zainteresowań i fachów. A jednak pomysł uczczenia jubileuszu Klubu Wysokogórskiego koncertem symfonicznym był czymś zupełnie naturalnym. Jeśli bowiem utrzymuje się w szerokiej opinii przekonanie o przewadze wśród taterników ludzi o zawodach artystycznych (prawda wątpliwa, a w każdym razie nie udowodniona), to zawdzięcza ono swe rozpowszechnienie chyba właśnie muzykom. Istotnie, losy polskiej muzyki krzyżują się zarówno z losami Tatr i Zakopanego, jak i samego taternictwa. Zdecydowała o tym przede wszystkim działalność Mieczysława Karłowicza i Karola Szymanowskiego, dwóch najwybitniejszych kompozytorów polskich pierwszej połowy XX wieku, obu na swój sposób związanych z górami. Szczęśliwym trafem powiązania te przetrwały do ostatnich lat poprzez osobę Wawrzyńca Żuławskiego, krytyka, kompozytora i pedagoga muzycznego a także przez Tadeusza Strumiłłę — czołowego muzykologa powojennego pokolenia.

Program koncertu jubileuszowego połączył te dawne i nowe tradycje. Wykonane zostały: „Suieta w dawnym stylu” Żuławskiego, „Koncert skrzypcowy” Karłowicza oraz obszerne fragmenty z baletu „Harnasie” Szymanowskiego. Był to program przy takiej okazji właści-

wie idealny: jeden z najbardziej udanych wśród nielicznych utworów orkiestrowych pozostawionych przez Żuławskiego (przy tym nigdy dotąd nie wykonywany w całości), świetny i zawsze chętnie słuchany koncert największego polskiego twórcy poematów symfonicznych a zarazem pierwszego zdobywcy Ciężkiej Turni i jednego z pierwszych zdobywców południowej ściany Ostrego Szczytu, wreszcie „Harnasie” — utwór najgłębiej i najpełniej w całej naszej muzyce związany z Tatrami, w dodatku stanowiący jedno z czołowych dzieł polskiej muzyki XX wieku.

Mimo spóźnionego rozklejenia afiszów z powodu nagłej choroby aż dwóch wykonawców, koncert odbył się przy prawie całkowicie wypełnionej wielkiej sali Filharmonii Narodowej, a żywa reakcja publiczności przeistoczyła się pod koniec w prawdziwą owację. Wiele było w tym zasługi wykonawców: dyrygenta Stanisława Wisłockiego, który w ostatniej chwili zgodził się zastąpić Witolda Rowickiego, solistów — Igora Iwanowa (skrzypce) i Andrzeja Bachledy (tenor), wreszcie Orkiestry i Chóru Filharmonii Narodowej (chór przygotował Roman Kuklewicz). W przerwie koncertu publiczność miała możliwość obejrzeć w foyer specjalnie przygotowaną ekspozycję fotografii górskiej.

Urządzenie koncertu nadzwyczajnego w ramach z góry zaplanowanego sezonu artystycznego wymagało przewyciężenia poważnych trudności organizacyjnych i nie byłoby możliwe, gdyby nie daleko posunięta życzliwość i dobra wola dyrekcji Filharmonii Narodowej w osobach pp. Zdzisława Słowińskiego i Witolda Rowickiego, który — nawiasem mówiąc — sam jest również związany osobiście z górami i taternictwem.

Władysław Malinowski

Notatki

50 lat ma schronisko w Roztoce

Zrudziałe od słońca schronisko na polanie Stara Roztoka, tak ściśle związane z historią taternictwa polskiego, należy do najstarszych w Tatrach. Pierwszy budynek wzniosło tutaj Tow. Tatrzańskie w r. 1876 — miał on drzwi na drewnianych zawiasach i okna bez szyb, zasuwane deskami. Chętnie z niego korzystał Chałubiński podczas swoich słynnych wypraw, w nim spędził przy ognisku noc Stanisław Witkiewicz w trakcie II znanej z zapisów zimowej wycieczki do Morskiego Oka. Obecne schronisko stanęło 50 lat temu — w roku 1913, przy czym usytuowane zostało w innym punkcie polany. Do budowy użyto część belek z rozebranej starej budy. W latach międzywojennych było ono w pewnych okresach główną bazą taterników, pozwalało bowiem operować łatwo i po polskiej i po słowackiej stronie Tatr. Tu kwitło klubowe życie towarzyskie, stąd podejmowano zdobywcze wyprawy w rejon dolin Jaworowej, Białej Wody, Staroleśnej. Z Roztoki wyruszył w swą ostatnią drogę W. Stanisławski, tutaj nie powrócili Z. Gieysztor w r. 1930 i W. Birkenmajer w 1933. Po roku 1947 znaczenie Roztoki jako bazy wypadowej w góry zmniejszyło się, a pewien renesans w latach 1950-tych wiązał się głównie z osobą ówczesnego kierownika, Pawła Vogla. Z poważniejszych akcji górskich stąd wtedy podejmowanych można wymienić pierwsze zimowe przejścia środka pn.-wschodniej ściany Kazałnicy (1957) i północnej ściany Świstowej Czuby (1958).
J. N.

„Zima stulecia”

Niebywałą atrakcją mieli w lutym bieżącego roku mieszkańcy Warszawy, widząc alpinistów w pełnym rynsztunku bojowym balansujących na gzymsach i dachach kamienic. To wspinacze zrzeszeni w Klubie Turystów Górskich włączyli się do walki ze skutkami „zimy stulecia” i przystąpili do oczyszczania fasad domów z zagrażających przechodniom sopli lodowych. Mimo trzaskającego mrozu na ulicach zbierały się tłumy gapiów, a zdjęcia uczeplonych do rynien ludzi w białych podkolanówkach ukazały się na szpaltach wszystkich warszawskich gazet.

Środek Rumanowego w zimie

Jednym z ostatnich dużych problemów zimowych w Tatrach było dotąd przejście właściwego środka północno-wschodniej ściany Rumanowego Szczytu. Rozwiązał go w dniu 9 kwietnia zespół słowacki K. Hauschke — J. Durana, znany z kilku dalszych ambitnych osiągnięć minionej zimy. Wspinacze weszli w ścianę około godz. 8 rano. Bardzo trudny próg w Rumanowym Korycie (WHP 1388 G) ominęli z prawej strony, kopułę szczytową zaś przeszli wariantem WHP 1388 KL (Bernadzikiewicz-Chwaściński, 1932). Wariant ten zimą nie był robiony, jakkolwiek stanowi właściwe rozwiązanie i klucz całej drogi, wobec czego słowackie przejście z roku 1957 chyba nie może być uznane za pokonanie środka ściany.

Schronisko na polanie Stara Roztoka.
Fot. Józef Nyka



Hauschke i Durana szczyt osiągnęli około 9 wieczorem. Przejście — w sumie bardzo piękne — dokonane zostało w doskonałym stylu; jedynym jego mankamentem było omińnięcie progu w Rumanowym Korycie.

P. Misiurewicz

Jubileusz CAI i CAS

Europejskie zrzeszenia alpinistyczne powstały po większej części w trzeciej ćwierci minionego stulecia. W r. 1856 zawiązał się londyński „Alpine Club”, a w 1862 wiedeński „Oesterreichische Alpenverein”. W tym roku święcą stulecie istnienia dwie dalsze zasłużone organizacje górskie — Club Alpino Italiano i Club Alpin Suisse. Pierwszy z nich do r. 1867 używał nazwy „Club Alpino di Torino”, obecnie zaś znany jest pod popularnym skrótem „CAI”. Drugi nosi w romańskiej części Szwajcarii nazwę francuską, w alemańskiej zaś — niemiecką (Schweizer Alpen-Club). W odróżnieniu od naszego klubu, obydwa prowadzą szeroką działalność na polu popularyzacji turystyki górskiej, utrzymują ścieżki i schroniska, organizują działalność naukową i górnoznawczą. Club Alpin Suisse postarał się o upamiętnienie swego jubileuszu przy pomocy specjalnego znaczka pocztowego. Ukazał on się w dniu 21 marca 1963 r. i przedstawia emblemat zrzeszenia na ciemnooliwkowym tle.

Polska alpinistka z kontuzjowaną nogą siedzi w helikopterze pogotowia górskiego w grupie Dachsteinu. (Do notatki obok).

Fot. Zdzisław Kirkin-Dziędzielewicz



Szczyt Gagarina

Na mapie Antarktydy pojawiło się ostatnio około stu nazw obiektów odkrytych i opisanych przez badaczy radzieckich. Większość z nich skupia się na obszarze 50 000 km² w górzystej krainie Ziemi Królowej Maud w sektorze atlantyckim. Szczytom i łańcuchom górskim nadano m. in. imiona radzieckich kosmonautów — Gagarina, Nikołajewa i Popowicza. Jeden z wierzchołków nazwany został imieniem Ernesta Thaelmanna.

W dżungli i na Antarktydzie

„Nie jest prawdą, że wszystko już wiemy o naszej planecie — powiedział Edmund Hillary redaktorowi amerykańskiego pisma „Popular Mechanics”. On sam nosi jeszcze w zanzardzu kilka ciekawych projektów odkrywczych, które chciałby zrealizować, zanim „powiesi czekan i linę na kołku”.

Na rok 1964 zdobywca Czomolungmy planuje wyprawę rekonesansową w Himalaje do stóp niezdojonego dotąd 6-tysięcznika Taweche (6520 m). W dalszych projektach ma m. in. ekspedycję alpinistyczno-naukową w głąb Nowej Gwineji, gdzie zwiad lotniczy wypatrzył w dżungli kolosalne urwisko górskie liczące 3000 m wysokości, miejscami pokryte dziką florą. Dla ochłody po trudach tej gorącej podróży Hillary chciałby się zająć eksploracją jednego z górskich regionów Antarktydy, w którym wysokości szczytów szacuje się na 6000 m. Jednym ze skrytych marzeń niestrudzonego odkrywcy jest trawers Czomolungmy na wysokości około 6000 m. Miałyby go przeprowadzić 8-osobowa grupa złożona z 6 Sierpów i 2 wspinaczy, a trasa marszrutu przecięłaby 11 lodowców i 8 przełęczy.

(„Poznaj Świat”, nr 5/1963)

Podziemny sukces Polki

Jak doniosła prasa codzienna, członkini Klubu Speleologów w Louvain w Belgii, Polka — Maryla Rząd, odkryła na obszarze parku narodowego Furfooz nieznaną dotąd jaskinię, w dodatku bardzo ładną, podobno jedną z najładniejszych w całej Belgii. Jej ozdóbę stanowią malownicze jezioro podziemne o rozmiarach 30×8 m i głębokości przeszło 30 metrów.

Ratownicy na skrzydłach

Na podstawie porozumienia między GOPREM i lotnictwem sanitarnym, poczynając od lata 1963 r. do poszukiwania zaginionych w Tatrach oraz do przeprowadzania akcji ratunkowych używane będą również helikoptery, które w razie potrzeby wystartują z lotniska spor-

towego w Nowym Targu. W Alpach tego rodzaju ratownictwo ma już stosunkowo dawne tradycje i wyrobione metody działania, trzeba przyznać bardzo skuteczne. Nie wątpimy, że GOPR postara się zaznajomić z nimi i skorzystać z doświadczeń pokrewnych instytucji. Oby tylko hałaśliwych maszyn nie trzeba było używać zbyt często — i na nasze potrzeby!

Rebitsch w Polsce

W początku maja 1963 r. bawił w Polsce znany austriacki alpinista i badacz Andów, Mathias Rebitsch. W dniu 9 maja wygłosił on w Warszawie niezwykle interesujący odczyt o swoich pracach i przeżyciach andyjskich, w trakcie którego z prawdziwym entuzjazmem mówił o wielkich zasługach odkrywczych polskich wypraw w te góry z lat 1934 i 37, a zwłaszcza o drugiej z nich. Prelekcja była ilustrowana przeszło stoma kapitalnymi zdjęciami barwnymi, obrazującymi krajobraz i ciekawostki And. Wybitny eksplorator odbył też wielogodzinne spotkanie ze zdobywcą Ojos del Salado, Justynem Wojsznisem, któremu zadeedykował egzemplarz swej książki „Die silbernen Götter”.

Kobiety po raz drugi

Letni sezon 1963 otworzyły w Tatrach Jolanta Jarecka i Krystyna Lipczyńska, dokonując w dniu 16 czerwca II kobiecego przejścia „Wariantu R” na Mnichu. Zespół wszedł w ścianę z całym sprzętem o godzinie 5 rano i w półtorej godziny osiągnął półki. Około południa zaczął padać deszcz ze śniegiem i zerwał się wiatr, mimo to taterniczki kontynuowały wspinaczkę. O godzinie 17.30 ukończyły drogę — w dobrym czasie 12 i pół godziny, z czego na sam „Wariant R” przypadło nieco ponad 10 godzin. W ścianie znajduje się obecnie dużo haków, tak że wspinanie miejscami — jak stwierdza K. Lipczyńska — „ogranicza się właściwie do przepinania karabinków”.

Przypomnijmy, że pierwszego kobiecego przejścia tej wyjątkowo pięknej drogi dokonały 29 lipca 1962 r. Halina Krüger-Serokomska i Janina Zygadlewicz w czasie 13 i pół godziny (od półek), również przy nie najlepszej pogodzie i 50-procentowym stanie haków, z wyjątkiem strefy okapów, gdzie tkwiły wszystkie.

Polski projekt przyjęty

II Polska Wyprawa w Hindukusz w r. 1962 nadała najwyższemu ze zdobytych przez siebie szczytów imię zmarłego niedawno króla Afganistanu, Nadir Szacha (zobacz „Taternik” nr 2-4/1962, s. 172). Jak nas poinformowało Mi-

nisterstwo Spraw Zagranicznych, nowa nazwa została z uznaniem aprobowana przez władze afgańskie i wchodzi do oficjalnych publikacji kartograficznych.

O nas zapomniano

Magazyn turystyczny „Światowid” zamieścił w swoim setnym numerze (24 III 1963) obszerny artykuł J. Jastera zatytułowany „Nasi protoplaści”, a poświęcony historii prasy turystycznej w Polsce. Nie zamierzamy się wdawać w dyskusję, czy rzeczywiście „Wędrowiec” może być uznany za protoplastę „Światowida” i czy „Wierchy” są istotnie „kwartalnikiem polskiego ruchu taternickiego”, chcemy natomiast wyrazić żal, że wśród licznych i na zasadzie przypadku wymienionych pism i pisemek nie zauważono naszego, które jest jakby nie było aktualnie najstarszym w Polsce reprezentantem całej rodziny. Założono je w r. 1907 jako organ Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego z zadaniem „pracy koło rozwoju turystyki polskiej i szczenia wśród ogółu zamiłowania do taternictwa”. Ma też „Taternik” — szeroko o tym wiadomo — pewien wyjątkowy tytuł do sławy: był bowiem, jak stwierdza jeden z jego okupacyjnych wydawców, S. Miedza-Tomaszewski — „na pewno jedynym na świecie w dziejach wydawnictw turystycznych pismem wydawanym konspiracyjnie”.

Amerykanie na „szczycie świata”

Wielkie zainteresowanie wzbudziła wyprawa amerykańska w masyw Czomolungmy (Mount Everestu, 8848 m) — niewątpliwie najlepiej wyposażona z wszystkich, jakie tu kiedykolwiek działały. Wyruszyła ona z Katmandu w połowie marca a powróciła w czerwcu. Kierownikiem był znany himalaista szwajcarski, Norman Dyhrenfurt. Aż 6 uczestników wyprawy dotarło na wierzchołek Czomolungmy — dwóch 1 maja (w tym 1 Szerpa) i 4 w dniu 22 maja, przy czym ci ostatni weszli dwiema różnymi drogami.

Nie mniej bogato przedstawia się naukowy dorobek ekspedycji, w której skład wchodziło kilku wybitnych specjalistów z dziedziny medycyny, psychologii, fizyki itp. Badano promieniowanie słoneczne, funkcjonowanie organizmu i umysłu ludzkiego na dużych wysokościach, zebrano pokaźną ilość próbek skał, lodu i śniegu. Badania mikroorganizmów przywiezionych z rejonu wierzchołka mają rzucić światło na problem możliwości istnienia życia na Marsie, bowiem warunki panujące na wierzchołku Czomolungmy odpowiadają podobno marsjańskim.



Wzorem zachodnich agencji wydawniczych również i nasza wytwórnia fotowidokówek w Jaśle (PTTK) zaczyna sięgać do tematyki wspinaczkowej. Zdjęcie efektowne, jednakże do podpisu wkradł się błąd: to nie Mięguszowieckie Szczyty widać w głębi, lecz Zabi Szczyt Wyżni.

W jednym z najbliższych numerów „Taternika” zamieścimy obszerniejsze omówienie wyników wyprawy.

Tragedia pod ziemią

Smutny epilog miała treningowa wyprawa 5 młodych speleologów z Lyonu do odkrytych w r. 1958 jaskiń Foussoubie w Ardenach. Rozpoczęli oni ją 2 czerwca i po 24 godzinach zamierzali powrócić na powierzchnię. Jednakże gwałtowna ulewa spowodowała przybór wody w potoku wpadającym pod ziemię i zatopienie korytarzy jaskini (przypomnijmy nasz film „Zuzanna i chłopcy”). Grotolazi próbowali ująć z pułapki, wspinając się wśród rwących wód, co 2 z nich niestety przyplaciło życiem: jeden odpadł od skały i został porwany przez prąd, drugi obsunął się do wody podczas przechodzenia po drabince sznurowej. Tymczasem na powierzchni została zorganizowana akcja ratunkowa. Sprowadzono zespół pomp wyrzucających 1500 m³ wody na godzinę oraz 7 buldożerów, które miały usypać wał tamujący napływ wody z powierzchni. Ażeby uwięzionych zaopatrzyć w żywność, środki opatrunkowe i światło, ratownicy wrzucali do wody hermetycznie zamknięte zasobniki, z których jeden dotarł 6 czerwca do grotolazów siedzących na platformie o powierzchni kilku metrów kwadratowych. 7 czerwca — po stu godzinach pobytu pod ziemią — zostali oni wydobyli przez drużyny ratownicze, znaleziono też ciało jednego z zaginionych, 21-letniego Jeana Duponta. Wydarzenia w jaskini miały wprawdzie tło obiektywne, jednakże młodym speleologom zarzuca się popełnienie kilku lekkomyślności, które wyzwołyły katastrofę.

Mönch-Nordwand w zimie

W dniach 28—31 stycznia 1963 r. Robert Stieger i Paul Jenny dokonali I zimowego przejścia północnej ściany szczytu Mönch (4099 m) w Alpach Berneńskich (Lauperroute), po czym zeszli granią zachodnią, również jako pierwsi w zimie. Ponieważ temperatura wahała się w granicach od -28 do -35° , obaj wspinacze podmrażali sobie ręce i nogi. Ich doświadczenia z zastosowaniem haków do wkręcania w lód, tzw. „śrub lodowych” są podobne, jak Momatiuka i Mostowskiego. Lód podczas ich wspinaczki był mianowicie do tego stopnia twardy i zwięzły, że nie udało im się umieścić w nim ani jednej „śruby”. Natomiast zwykle haki lodowe można było wbijać łatwo i dobrze.

Zima 1963 przyniosła również I przejścia północnych ścian Lyskamm (4538 m, 23—24 I) i Dent Blanche (4363 m, 1—2 III) — oba również przy bardzo silnym mrozie, sięgającym chwilami -35° .

Taternik

Organ of the Polish Mountaineering Club

Revue du Club Polonais de Haute Montagne

Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

ОРГАН ПОЛЬСКОГО ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА

Volume }
Jahrgang } XXXIX (1963), No. 3 - 4 (180 - 181), Warszawa
Том }

Editor }
Rédacteur } J. Nyka, Warszawa, ul. Nowosielecka 20 m 18 (Poland, Pologne, Polen, Польша)
Schriftleiter }
Редактор }

The journal „Taternik” is published four times a year by the Polish Mountaineering Club (Klub Wysokogórski). The journal „Taternik” is gladly sent in exchange for mountaineering, tourist, speleological or geographical publications.

La revue trimestrielle „Taternik” est une publication du Club Polonais de Haute Montagne (Klub Wysokogórski). La revue „Taternik” vous sera très volontiers expédiée en échange contre publications du domaine de l’alpinisme, du tourisme, de la spéléologie et de la géographie.

Die Zeitschrift „Taternik” erscheint vierteljährlich, herausgegeben vom Polnischen Bergsteigerklub (Klub Wysokogórski). Die Zeitschrift „Taternik” wird gern gegen alpinistische, touristische, speläologische oder geographische Publikationen ausgetauscht.

Журнал «Татерник» выходит 4 раза в год и издается Польским Высокогорным клубом. Журнал «Татерник» охотно высылается в обмен на альпинистские, спелеологические и географические издательства.

SUMMARY

| | Page | | |
|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| WITH JACOBO KOWALSKI ON THE POPOCATEPETL (<i>J. Sawicki</i>) | 90 | THE FIRST DAY OF THE WAR (<i>Z. Kirkin-Dziędzielewicz</i>) | 101 |
| Report of the excursion to Popocatepetl (5452 m), the famous volcano in Mexico | | Reminiscences of the first ascent of the east face of the Zawratowa Turnia, made September 1, 1939. During the climb, the information about the outbreak of war reached the mountaineers, and they continued the route hearing explosions of German bombs and shells. | |
| DROITES PILLAR IN WINTER (<i>J. Michalski and J. Warteresiewicz</i>) | 93 | 2 × WALKER'S PILLAR (<i>T. Łubieński</i>) | 106 |
| Account of the first winter ascent of the north-east pillar of Les Droites in the Mont Blanc group, made in March 1963 by four Polish climbers in exceptionally bad weather conditions. | | Report of the two winter ascents of the northern face of the Grandes Jorasses by Walker's pillar (1963). | |
| 40 YEARS OF ALPINISM IN THE USSR | 96 | THE WINTER SEASON 1962/63 IN THE POLISH TATRAS | 107 |
| FIVE DAYS IN THE WALL OF THE KAZALNICA (<i>E. Chrobak and A. Heinrich</i>) | 97 | THE WINTER SEASON 1962/63 IN THE SLOVAK TATRAS (<i>P. Plašil</i>) | 109 |
| Narrative description of the first winter ascent of the north-east face of the Kazalnica (route Momatiuk) — the most difficult climb in the Tatras (6–10 April 1963). | | WIKTOR BIEGAŃSKI, THE PIONIER OF POLISH MOUNTAIN FILM (<i>A. Mucha</i>) | 111 |
| | | The first films of Biegański concerning the | |

Tatras come from 1913. In 1922-27 he made three films presenting, amongst other things, climbing scenes.

| | |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| POLISH ASCENTS IN AFRIKA IN 1934 (Z. Grabowski) | 113 |
| THE OVERHANG (L. Saduś) | 114 |
| Description of a difficult ascent in the Tatras. | |
| ONE HUNDRED YEARS OF ALPINISM IN THE DOLOMITES (J. Kurczab) | 115 |
| A short historical report presenting the evolution of mountaineering in the Dolomites up to 1962. | |
| THE POLES IN THE DOLOMITES (J. Nyka) | 119 |
| Contribution of Polish alpinists in the conquest of the Dolomites. Especially the Smoluchowski brothers were pioneers of guideless climbing in 1890-94. | |

| | |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| ON THE EAST FACE OF THE GANEK (A. Zawada) | 122 |
| The first winter ascent of the east face of the Ganek in the Slovak Tatras, made in April 1963 by three Polish climbers. | |
| THE CONQUEST OF OKRAĞLICA (J. Nyka) | 124 |
| Historical note on mountaineering in the Pieniny mountain range in the year 1832. | |
| CLUB PROCEEDINGS | 125 |
| WINTER ITINERARIES IN THE TATRAS | 126 |
| FROM THE ALPS | 129 |
| NEW ROUTES IN THE TATRAS | 130 |
| BOOK REVIEWS | 132 |
| MOUNTAIN FILMS | 135 |
| MUSIC | 136 |
| VARIOUS NOTES | 137 |
| LETTER TO THE EDITOR | 141 |

SOMMAIRE

| | Page |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| AVEC JACOBO KOWALSKI SUR LE POPOCATEPETL (J. Sawicki) | 89 |
| Un voyage au Popocatepetl (5452 m), le célèbre volcan en Mexique. | |
| LES DROITES EN HIVER (J. Michalski et J. Warteresiewicz) | 93 |
| Une relation de la première ascension hivernale de l'éperon nord-est, du 7 au 11 mars 1963, par 4 grimpeurs polonais — M. Gryczyński, J. Michalski, J. Stryczyński et J. Warteresiewicz, dans une tempête de neige. | |
| 40 ANS D'ALPINISME SOVIETIQUE. | 96 |
| CINQUE JOURS SUR LA PAROI DE KAZALNICA (E. Chrobak et A. Heinrich) | 97 |
| Première ascension hivernale de la paroi nord-est par la voie Momatiuk, du 6 au 10 avril 1963, par 3 grimpeurs. Cette voie est considéré actuellement comme la plus difficile des Tatras. | |
| LE PREMIER JOUR DE LA GUERRE (Z. Kirkin-Dziędzielewicz) | 101 |
| Souvenir de la première ascension de la paroi est de la Zawratowa Turnia dans les Tatras le 1 septembre 1939. Les grimpeurs ont appris au centre de la paroi, que la guerre a éclatée et ils ont fini l'escalade au retentissement de bombes allemandes. | |
| 2 × L'EPERON WALKER (T. Łubieński) | 105 |
| Une relation sur les deux ascensions hivernales de l'éperon Walker — les plus grandes réussites dans les Alpes en hiver 1962/63. | |
| LES HIVERNALES 1962/63 DANS LES TATRAS POLONAIS | 107 |
| LES HIVERNALES 1962/63 DANS LES TATRAS SLOVAQUES (P. Plašil) | 109 |

| | |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| WIKTOR BIEGAŃSKI, UN PIONNIER DU FILM DE LA MONTAGNE EN POLOGNE (A. Mucha) | 111 |
| Les premières photos cinématographiques dans les Tatra étaient faites par frères Pathé en 1912. Wiktor Biegański en 1913—1927 il a réalisé ici quelques films avec des scènes d'escalade. | |
| ASCENSIONS POLONAIS EN AFRIQUE EN 1934. (Z. Grabowski) | 113 |
| LE TOIT (L. Saduś) | 114 |
| Description d'une escalade dans les Tatras (fragment). | |
| UN SIECLE D'ALPINISME DANS LES DOLOMITES (J. Kurczab) | 115 |
| L'évolution de l'alpinisme dans les Dolomites en recous jusqu'à 1962. Préparé à l'occasion du centenaire du C.A.I. Nous publions nos félicitations pour C. A. I. et C.A.S. à la page 114. | |
| LES POLONAIS DANS LES DOLOMITES (J. Nyka) | 119 |
| Une petite chronique de l'activité polonaise dans les Dolomites en 1890—1962. | |
| LE GANEK, PAROI EST (A. Zawada) | 122 |
| Première ascension hivernale de la face est par la voie Paszucha les 6 et 7 avril 1963 par trois grimpeurs polonais. | |
| L'ASCENSION DE LA OKRAĞLICA (J. Nyka) | 124 |
| Une note historique sur la première ascension de Okrağlica (982 m), la plus haute aiguille de la chaîne des Pieniny en 1832. | |
| ACTIVITE DU CLUB POLONAISE DE HAUTE MONTAGNE | 125 |
| ITINERAIRES HIVERNAUX DANS LES TATRAS | 126 |

| | |
|-----------------------------------------------------|-----|
| NOUVEAUX ITINERAIRES DANS LES TA- TRAS | 130 |
| LES LIVRES NOUVEAUX | 132 |
| FILMS DE MONTAGNE | 135 |

| | |
|--------------------------|-----|
| LA MUSIQUE | 136 |
| NOTICES DIVERS | 137 |
| CORRESPONDENCE | 141 |

INHALTSVERZEICHNIS

| | Seite | |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-------|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| MIT JACOBO KOWALSKI AUF DER POPO- CATEPETL (<i>J. Sawicki</i>) | 90 | Film entdeckt. Er arbeitete hier mit der Kamera in den Jahren 1913—1927, leider ist fast das ganze Filmmaterial während des Krieges verlorengegangen. |
| Ein Ausflug mit Rucksack und Pickel auf den Gipfel des berühmten tätigen Vulkans (5452 m) in Mexico, der bereits im Jahre 1521 von den Cortez-Soldaten besucht wurde. | | |
| DROITES-PFEILER IM WINTER (<i>J. Michalski und J. Warteresiewicz</i>) | 93 | POLNISCHE SPUREN IN AFRIKA (<i>Z. Grabowski</i>) 113 Polnische Routen die während der Fahrt 1934 im Atlasgebirge eröffnet wurden. |
| Die erste Winterbesteigung des Nordostpfeilers der Droites (4000 m) im Mont-Blanc-Gebiet in der Zeit vom 7—11 März 1963. Die Fahrt wurde von 4 polnischen Bergsteigern bei aussergewöhnlich schlechten Wetterbedingungen durchgeführt (häufige Schneefälle, Nebel, Frost). | | DER ÜBERHANG (<i>L. Saduś</i>) 114 Ein Fragment aus der Beschreibung einer extremen Klettertour in der Tatra. |
| 40 JAHRE ALPINISMUS IN DER UDSSR | 96 | 100 JAHRE DES DOLOMITEN-ALPINISMUS (<i>J. Kurczab</i>) 115 Eine kurze Zusammenfassung der wechselhaften Geschichte der alpinistischen Erschließung des heute stark besuchten Raumes der Dolomiten, bearbeitet auf Grund der „Rivista Mensile“ anlässlich der 100-Jahr-Feier des C.A.I. Auf der Seite 114 werden C.A.I. und S.A.C. zu ihrem Jubiläumsjahr von dem Polnischen Hochgebirgsklub herzlich beglückwünscht. |
| FÜNF TAGE IN DER KAZALNICA-NORD- OSTWAND (<i>E. Chrobak und A. Heinrich</i>) | 97 | POLNISCHE BERGSTEIGER IN DEN DOLOMITEN (<i>J. Nyka</i>) 119 Auch polnische Kletterer haben sich an der Eroberung der Dolomiten-Wände beteiligt. Polnischer Abstammung waren die Brüder Smoluchowski, die in den Jahren 1890-94 neue wertvolle Dolomitentouren eröffneten. |
| Ein Bericht von der Wintererstbegehung der Momatiuk-Führe, die als die schwierigste Fahrt der Tatra überhaupt gilt (grosse Ansammlung von Schwierigkeiten, präzise Arbeit mit Spezialhaken) — 6. bis 10. April 1963. | | IN DER GANEK-OSTWAND (<i>A. Zawada</i>) 122 Am 6 und 7 April gelang drei polnischen Bergsteigern die Wintererstbegehung der Paszucha-Führe der Ganek-Ostwand. Die Liste der noch offenstehenden Winterprobleme in der Tatra geht rasch zu Ende. |
| DER ERSTE TAG DES KRIEGES (<i>Z. Kirkin-Dziędzielewicz</i>) | 101 | DER GIPFELFELS DER KRONENSPITZE (<i>J. Nyka</i>) 124 Die erste Besteigung der höchsten Spitze des Pieninygebirges fand wahrscheinlich im Jahre 1832 statt. |
| Erinnerungen eines einst extremen Kletterer an den ersten Durchstieg der Zawratowa-Turnia-Wand am 1 September 1939. Die Bergsteiger wurden in der Mitte der Überhänge von dem Kriegsausbruch benachrichtigt und bei Kanonendonner führten ihr Unternehmen zu Ende. | | AUS DEM KLUBSLEBEN 125 NEUE WINTERTOUREN IN DER TATRA 126 AUS DEN ALPEN 129 NEUE ROUTEN IN DER TATRA 130 SCHRIFTENSCHAU 132 BERGFILM 135 MUSIK 136 NOTIZEN 137 BRIEF AN DIE SCHRIFTLLEITUNG 141 |
| 2 × WALKER-PFEILER (<i>T. Lubiński</i>) | 106 | |
| Die Winterbegehungen des Walker-Pfeilers, die Walter Bonatti und René Desmason im Januar 1963 schafften. | | |
| DIE WINTERSAISON 1962/63 IN DER POLNISCHEN TATRA | 107 | |
| WINTERLICHE LEISTUNGEN AUF DER SLOWAKISCHEN TATRASEITE (<i>P. Plašil</i>) | 109 | |
| Zwei Überblicke über die Klettertätigkeit der polnischen und tschechoslovakischen Bergsteiger in der Tatra. Der zweite Aufsatz berichtet auch von schönen Winterleistungen der DDR-Kletterer, die das Gebiet der Slowakischen Tatra besuchten. | | |
| WIKTOR BIEGAŃSKI — EIN BAHNBRECHER DES POLNISCHEN BERGFILMS (<i>A. Mucha</i>) | 111 | |
| Wiktor Biegański hat die Schönheit der Tatra und des Bergsteigens für den polnischen | | |

СОДЕРЖАНИЕ

| | |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| <p>С ЯАКОБО КОВАЛЬСКИМ НА ПОПОКАТЕПЕТЛЬ (Я. Савицкий) 90</p> <p>Альпинистское восхождение на известный вулкан (5452 м) в Мексике.</p> <p>ЗИМНЕЕ ВОСХОЖДЕНИЕ НА ДРУАТ (Е. Михальский и Е. Варгересевич) 93</p> <p>Отчёт с первого зимнего восхождения по сев.-вост. контрфорсу на Друат (4000 м) в массиве Монт-Блан в Альпах, которое совершили 4 польских альпинистов марте 1963 года.</p> <p>40 лет СОВЕТСКОГО АЛЬПИНИЗМА 96</p> <p>ПЯТЬ ДНЕЙ В СТЕНЕ КАЗАЛЬНИЦЫ (Е. Хробак и А. Хенрих) 97</p> <p>Первое зимнее восхождение по пути Моматюка на сев.-вост. стене Казальницы. Апрель 1963 г.</p> <p>2 x КОНТРОРС ВАЛЬКЕРА (Т. Лубенский) 106</p> <p>Короткий отчёт с двух зимних восхождений по сев. стене Гран Жорас в Альпах, по контрфорсу Валькера.</p> <p>ЗИМНИЙ СЕЗОН 1962/63 В ПОЛЬСКИХ ТАТРАХ 107</p> <p>ЗИМНИЙ СЕЗОН 1962/63 В ЧЕХОСЛОВАЦКИХ ТАТРАХ (П. Плашиль) 109</p> <p>ВИКТОР ВЕГАНСКИЙ, АВТОР ПЕРВЫХ ПОЛЬСКИХ ВЫСОКОГОРНЫХ ФИЛЬМОВ (А. Муха) 111</p> <p>Краткая биография польского кинорежиссёра, который в годах 1913—27 первый ввёл на польские экраны Татры и сцены из высокогорного спорта.</p> | <p>ПОЛЬСКИЕ ВОСХОЖДЕНИЯ В АФРИКЕ (З. Грабовский) 113</p> <p>ВОЛЬШОЙ КАРНИЗ (Л. Садусь) 114</p> <p>СТО ЛЕТ АЛЬПИНИЗМА В ДОЛОМИТАХ (Я. Курчаб) 115</p> <p>Короткий исторический очерк развития альпинизма в Доломитах до 1962 года.</p> <p>ПОЛЬСКИЕ АЛЬПИНИСТЫ В ДОЛОМИТАХ (Ю. Нька) 119</p> <p>Участие Поляков в спортивном освоении Доломитов в годах 1890—1962.</p> <p>НА ВЕРШИНУ ГАНЕК ПО ВОСТОЧНОЙ СТЕНЕ (А. Завада) 122</p> <p>Отчет с первого зимнего восхождения на Ганек по пути Пашухы (Чехословацкие Татры).</p> <p>ВОСХОЖДЕНИЕ НА ОКРОНГЛНЦУ В ПЕНИНАХ В 1832 ГОДУ (Ю. Нька) 124</p> <p>ВОПРОСЫ ВЫСОКОГОРНОГО КЛУБА 125</p> <p>ЗИМНИЕ ВОСХОЖДЕНИЯ В ТАТРАХ 126</p> <p>ИЗ АЛЬП 129</p> <p>НОВЫЕ ВОСХОЖДЕНИЯ В ТАТРАХ 130</p> <p>ИЗ ЛИТЕРАТУРЫ 132</p> <p>ВЫСОКОГОРНЫЙ ФИЛЬМ 135</p> <p>МУЗИКА 136</p> <p>ЗАПИСКИ 137</p> <p>Письма В РЕДАКЦИЮ 141</p> |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|

TATERNIK

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego

Czasopismo poświęcone sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii

Redaktor: Józef Nyka, Warszawa, ul. Nowosielecka 20 m. 18
Zastępca redaktora: Jan Staszal, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a, m. 7
Komitet Redakcyjny: Ryszard Cradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański, Justyn W. Wojsznis, Piotr Żółtowski.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Nowosielecka 20 m. 18
Adres Administracji: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 266956.

Prenumerata:

„Taternik” ukazuje się w 4 zeszytach rocznie.

Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują „Taternika” w ramach składek członkowskich poprzez koło Klubu Wysokogórskiego.

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę krajową przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrocie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. — Cena pojedynczego numeru zł 10. — Prenumerata roczna zł 40.

Przedpłaty na prenumeratę zagraniczną na okresy roczne (zł 56) przyjmuje Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa, konto nr 1-6-100024.

Wymiana:

„Taternika” wysyła się na wymianę za wydawnictwa o pokrewnych zainteresowaniach (alpinistyczne, turystyczne, krajoznawcze, geograficzne, speleologiczne itd.). Wymianę załatwia Redakcja „Taternika”.

Numery archiwalne:

Numery archiwalne „Taternika” (wykaz i ceny są podane na str. III okładki numeru 1/1962) można zamawiać w Administracji „Taternika” lub w Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12.

Wydawca: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego,
Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 266956.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka”,
Warszawa, ul. Rutkowskiego 7/9, tel. 624-51.

Druk: Technikum Poligraficzne, Warszawa,
ul. Konwiktorska 2, tel. 31-36-52. Zam. 304/63.
Z-23.



WYDAWNICTWO »SPORT I TURYSTYKA«

Cena zł 20

<http://pza.org.pl>